

UKOCHANY MARNOTRAWNY



Theresa Aletheia Noble FSP

UKOCHANY MARNOTRAWNY

Kiedy twoi bliscy porzucają wiarę

Przełożyła
Magdalena Ciszewska

w|drodze


Tytuł oryginału
The Prodigal You Love

The material is copyrighted and may not be duplicated without
the permission of the copyright holder

© Copyright 2014, Daughters of St. Paul
Published by Pauline Books & Media, 50 St. Paul's Avenue, Boston, MA 02130
All rights reserved

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2018

Redaktor prowadzący
Lidia Kozłowska

Redakcja
Paulina Jeske-Choińska

Korekta
Agnieszka Czapczyk, Paulina Jeske-Choińska

Projekt okładki i stron tytułowych
Joanna Dąbrowska

Redaktor techniczny
Justyna Nowaczyk

ISBN 978-83-7906-228-7

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.
Wydanie I, 2018
ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań
tel. 61 852 39 62, faks 61 850 17 82
sprzedaz@wdrodze.pl www.wdrodze.pl

*Moim rodzicom,
Jane i Chrisowi,
którzy mnie kochali
i wymodlili mój powrót
na łono Kościoła*

Przypowieść o synu marnotrawnym

[Jezus] Powiedział też: „Pewien człowiek miał dwóch synów. Młodszy z nich rzekł do ojca: »Ojcze, daj mi część majątku, która na mnie przypada«. Podzielił więc majątek między nich. Niedługo potem młodszy syn, zabrawszy wszystko, odjechał w dalekie strony i tam roztrwonił swój majątek, żyjąc rozrzutnie. A gdy wszystko wydał, nastął ciężki głód w owej krainie i on sam zaczął cierpieć niedostatek. Poszedł i przystał do jednego z obywateli owej krainy, a ten posłał go na swoje pola, żeby pasł świnie. Pragnął on napełnić swój żołądek strąkami, którymi żywiły się świnie, lecz nikt mu ich nie dawał. Wtedy zastanowił się i rzekł: Iluż to najemników mojego ojca ma pod dostatkiem chleba, a ja tu z głodu ginę. Zabiorę się i pójdę do mego ojca, i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem: uczyni mię choćby jednym z najemników. Wybrał się więc i poszedł do swojego ojca. A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go. A syn rzekł do niego: »Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem«. Lecz ojciec rzekł do swoich sług: »Przynieście

szybko najlepszą szatę i ubierzcie go; dajcie mu też pierścień na rękę i sandały na nogi! Przeprowadźcie utuczone cielę i zabijcie: będziemy ucztować i bawić się, ponieważ ten mój syn był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się». I zaczęli się bawić.

Tymczasem starszy jego syn przebywał na polu. Gdy wracał i był blisko domu, usłyszał muzykę i tańce. Przywołał jednego ze sług i pytał go, co to ma znaczyć. Ten mu rzekł: »Twój brat powrócił, a ojciec twój kazał zabić utuczone cielę, ponieważ odzyskał go zdrowego«. Na to rozgniewał się i nie chciał wejść; wtedy ojciec jego wyszedł i tłumaczył mu. Lecz on odpowiedział ojcu: »Oto tyle lat ci służę i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu; ale mnie nie dałeś nigdy koźlęcia, żebym się zabawił z przyjaciółmi. Skoro jednak wrócił ten syn twój, który roztrwonił twój majątek z nierządnicami, kazałeś zabić dla niego utuczone cielę«. Lecz on mu odpowiedział: »Moje dziecko, ty zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy. A trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył, zaginął, a odnalazł się».

Łk 15,11–32¹

¹ Wszystkie cytaty z Pisma Świętego za: www.biblia.deon.pl.

Przedmowa

Stojąc po mszy przy wyjściu z kościoła, ściskam dłonie dobrych ludzi, którzy z niego wychodzą. Większość z nich zwalnia kroku na tyle, bym mógł im udzielić szybkiego błogosławieństwa na nadchodzący tydzień, ponieważ próbuję przekazać im coś więcej niż krótkie „do zobaczenia”. Lubię myśleć, że działam w zespole łaski.

Ale jedna osoba spośród wychodzących ma inny plan. Zatrzymuje się przy mnie i chwytą moją dłoń, podczas gdy reszta parafian omija nas, jak roboty drogowe w godzinie szczytu. Z cierpieniem, które maluje się na jej twarzy, błaga: „Ojcze, proszę mi pomóc... Mam złamane serce. Proszę, ojcze, powiedz mi, co mogę zrobić, by mój syn wrócił na łono Kościoła”. Mój wzrok wyraża współczucie, moje i Kościoła, i prawdziwy niepokój o zaginioną owcę. Po krótkiej wymianie zdań sugeruję modlitwę i wytrwałość, choć nawet w moich uszach brzmi to jak frazes. Kobieta, jak można było przewidzieć, odchodzi nieusatisfakcjonowana, gdyż nie przedstawiłem jej rozwiązania problemu, mogę więc tylko pomyśleć: „Chciałbym, żeby w sklepiu za mną była książka, którą mógłbym jej polecić – książka, która dobrze przedstawia ten duszpasterski problem i analizuje proces powrotu bliskiej komuś osoby na łono Kościoła”.

Zła wiadomość jest taka, że nie zdarzyło się to w jedną konkretną niedzielę. Ta scena powtarza się w życiu księdza zbyt często. Wystarczy zastąpić twarz tej kobiety jakąkolwiek inną, zamienić słowo „syn” na „córka/wnuk/siostrzenica/mąż/przyjaciel/bliski”. Zmaganie się z takimi sytuacjami dotyczy też kleru. Nie jest przesadą stwierdzenie, że każdy dorosły praktykujący katolik spotkał w swoim życiu przynajmniej jedną osobę, która oddaliła się od Kościoła i od sakramentów, zagubioną owcę, która oddalała się powoli, lub marnotrawnego syna, który uciekł z pogardą. Z badań wynika, że gdybyśmy policzyli wszystkich tzw. byłych katolików, stanowiliby oni drugą co do wielkości grupę wyznaniową w Stanach Zjednoczonych, przewyższającą liczebnie nawet Południową Konwencję Baptystów. To mnóstwo ludzi! Jak możemy ich przyciągnąć z powrotem? Jak to zrobić, byśmy wszyscy byli pośrednikami tej zmiany?

Dobra wiadomość jest taka, że trzymasz właśnie w ręku książkę, na którą ja i tak wiele innych osób czekało. W końcu znam odpowiedź na pytanie: „Ojcze, co mam zrobić?”. Dużo teraz słyszymy w Kościele o czymś, co ostatni papież nazywają nową ewangelizacją. Czasem bywają to bardzo „kościelne” przedsięwzięcia w rodzaju diecezjalnych programów działania lub teologicznych sympozjów na katolickich uniwersytetach. Nieco bardziej „w stylu Jezusa” byłoby jednak w tym wypadku spotkanie jeden na jeden, twarzą w twarz, serce przy sercu. Dlatego właśnie *Ukochany marnotrawny. Kiedy twoi bliscy porzucają wiarę* jest nową ewangelizacją w pełnym tego słowa znaczeniu. Theresa Aletheia Noble FSP dała każdemu dorosłemu katolikowi duchowy podręcznik poświęcony temu, jak z miłością (a nie przez umoralniające kazania) przywracać ludzi do wspólnoty wiary. Przypomina nam ona, że nie tylko zostaliśmy powołani przez Chrystusa do pełnienia tej ważnej misji, ale także, że – my wszyscy – potrafimy z nią sobie poradzić.

Dla mnie jako paulina zapraszanie katolików do powrotu na łono Kościoła, od którego się oddalili, to sprawa bliska sercu, ponieważ jest to w nas głęboko zakorzenione, nawet jeszcze nim podjęliśmy studia w seminarium. Mój współbrat paulin zlecił mi ostatnio zadanie (www.BustedHalo.com) polegające na znalezieniu nowych sposobów dotarcia do młodych, ale już dorosłych katolików. To trudna do zdefiniowania grupa osób w wieku 18–39 lat, które podpisują się pod hasłem: „wierzący niepraktykujący”. Większość z nich należy do pokolenia mileniów, którzy – jak twierdzą zarówno świeccy, jak i duchowni socjologowie – unikają identyfikowania się z jakimikolwiek wielkimi instytucjami, a zwłaszcza z Kościołem. Wraz z każdym publikowanym badaniem statystyki są coraz bardziej zniechęcające. Obecnie co trzeci Amerykanin poniżej trzydziestego roku życia deklaruje, że nie przynależy do żadnej organizacji religijnej – ta liczba potroiła się w kilku ostatnich dekadach. Przez ostatnie dziesięć lat mojej posługi stało się dla mnie jasne, że stworzyliśmy niewielką grupę, dla której docieranie do odchodzących jest życiowym zadaniem (oczywiście, to nasze powołanie), ale ta grupa nie jest w stanie zaprosić do powrotu na łono Kościoła milionów ludzi, którzy nie praktykują swojej wiary. Potrzebujemy waszej pomocy! Z czysto egoistycznego punktu widzenia postrzegam tę książkę jako sposób zmobilizowania globalnych oddziałów specjalnych nowych ewangelizatorów. I jeśli czytasz ją teraz, jesteś jednym z nich! Nie przerażaj się jednak: to całkiem proste.

Czy wiesz, kto sprawia, że jest to łatwe? Nasz Ojciec Święty. W bardzo krótkim czasie papież Franciszek pokazał nam, że my, katolicy, możemy być – a w rzeczy samej powinniśmy być – bardziej życzliwi, pełni miłości i wykazujący więcej zrozumienia w kontaktach z ludźmi, z którymi się nie zgadzamy. Sam jeden zmienił podejście Kościoła na takie, w którym wychodzi się

z Ewangelią na ulice, spotyka ludzi i mówi: „Naprawdę chciałbym usłyszeć, skąd przychodzisz”. Podobnie jak papież, siostra Theresa w wyraźny, ale delikatny sposób przypomina nam, że w procesie rozpalania płomienia wiary w naszych bliskich nie chodzi o to, że z nimi jest coś nie tak; trzeba zacząć od każdego z nas, od ciebie i ode mnie.

Na wypadek, gdyby to, co piszę, zabrzmiało zbyt jako wypowiedź zawodowego duchownego, pozwólcie, że jasno powiem: muszę przeczytać tę książkę i rozważyć to, co w niej napisano, tak samo jak każdy inny człowiek. Szczerze przyznaję, że bardzo cierpię w związku z tym, że wielu moich przyjaciół i członków rodziny odeszło od Kościoła. Podobnie jak wy jestem zraniony, kiedy ludzie, na których mi zależy, odwracają się od tego pięknego daru, którym jest wiara katolicka. Choć jestem księdzem, czuję się zupełnie bezradny w pewnych sytuacjach, nie wiedząc, jak najlepiej nad nimi „popracować”, by wrócili. Mnie też trzeba przypominać, że muszę stawać się bardziej podobny do Chrystusa, by przyciągnąć swoich bliskich do wspólnoty gromadzącej się wokół Jego stołu.

Pomódlcie się ze mną przez chwilę: „Panie, w swej mądrości i miłości przemień moje serce, odnów mój sposób działania, spraw, by moje słowa były delikatne, a czyniąc to, weź swoje dzieci z powrotem w objęcia i przyjmij do wspólnoty Kościoła”.

Teraz nie muszę już czekać, aż znowu ktoś podejdzie do mnie po mszy św. i poprosi o pomoc w związku z bliskim marnotrawnym, którego kocha. Pomoc nadeszła!

o. Dave Dwyer CSP

Podziękowania

Na wstępie chcę podziękować moim rodzicom, którzy patrzyli na mnie z miłością Ojca i nieustannie się za mnie modlili, gdy byłam poza Kościołem. Dziękuję Kelly, Michaelowi, Javierowi, Anthony'emu, Kate i Joanne za to, że mi zaufali i podzielili się ze mną swoimi historiami. To dla mnie błogosławieństwo, że was wszystkich poznałam. Dziękuję o. Anselmowi, o. Anthony'emu, Michaelowi, Lucie, Danowi, Ami, Monice i s. Marriane Lorraine Trouvé FSP za pomoc podczas przygotowywania książki do wydania, za wasze niezmiernie cenne uwagi i poprawki. Dziękuję s. Jacqueline Jean-Marie Gitondze FSP, s. Khristinie Galemie FSP, s. Carmen Christi Pompei i Erin Nolan za płynące prosto z serca modlitwy, które zostały umieszczone w aneksie. Dziękuję siostram z mojej wspólnoty i mojemu rodzeństwu: Davidowi, Sarah, Elisabeth i Mary Margaret, wszystkim moim przyjaciołom i każdemu, kto modlił się w intencji powstania tej książki i kto nadal się modli za jej czytelników, a także za wszystkich naszych bliskich, którzy są z dala od Kościoła i od Boga. Oby Bóg przyciągnął ich do swego miłosiernego serca i wykorzystał nasze życie jako instrument swego pokoju i miłości.

Jeśli to czytasz, prawdopodobnie kochasz kogoś, kto się oddalił od Kościoła, lub pragniesz, by ktoś, kogo kochasz, został katolikiem. Być może często się nad tym zastanawiasz, a może w ogóle o tym nie myślisz. Sięgnąłeś jednak po tę książkę, bo serce ci podpowiada, że możesz się w tej sytuacji zachować lepiej.

Nawet Jezusowi trudno było dotrzeć do swoich przyjaciół i rodziny. W Ewangelii według św. Marka czytamy, jak ubolewał nad tym: „Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i w swoim domu może być prorok tak lekceważony” (Mt 6,4). Kiedy Jezus przebywał z przyjaciółmi, krewnymi i ludźmi, których znał przez całe życie, wśród tych, którzy powinni znać Go najlepiej: „nie mógł (...) zdziałać żadnego cudu” (Mt 6,5), „Dziwił się też ich niedowiarstwu” (Mt 6,6). Być może to samo odczuwamy w stosunku do osób, które darzymy największą miłością. Nie rozumiemy, dlaczego nie potrafią docenić daru Jezusa w Kościele. Nie mamy siły na nie wpłynąć, poruszyć ich serc.

Niektórzy mogą nawet twierdzić, że ewangelizowanie bliskich, głoszenie im po raz pierwszy lub na nowo Dobrej Nowiny, jest zadaniem niemal niemożliwym do wykonania. To dobrze. Czasami musimy stanąć twarzą w twarz z trudnym zadaniem, byśmy sobie uświadomili, że całe dobro pochodzi od Boga, nie od nas. Jeśli

coś osiągamy, to nie czynimy tego sami, lecz „w Tym, który [nas] umacnia” (Flp 4,13). Dokładnie rzecz ujmując, ponieważ ewangelizacja bliskich jest trudna i wymaga świętości, stanowi podstawową drogę do tejże świętości. Zadania ewangelizacji przyjaciół i rodziny nie powinny się podejmować osoby małego ducha lub ci, których wiara osłabła. To mozolna praca bez fanfar i natychmiastowych efektów. Działamy ze świadomością, że nie musi się ona zakończyć sukcesem. Jezusowi też nie udało się przyciągnąć do siebie wszystkich, których kochał. Możemy mieć jednak pewność, że zarówno dla naszych bliskich, jak i dla nas samych zawsze lepiej jest podjąć próbę, niż tego nie zrobić.

W Księdze Izajasza znajdujemy profetyczne słowa, zwiastujące osobę Jezusa: „Nie złamie trzciny nadłamanej, nie zagasi knotka o nikłym płomyku” (Iz 42,3). Nasi bliscy mogą być „nadłamani” przez własne postępowanie, postępowanie innych lub przez jedno i drugie. Światło ich wiary może być „knotkiem o nikłym płomyku” lub może w ogóle nie płonąć. Wszyscy jesteśmy jednak wezwani, by być jak Jezus, by delikatnie i z wyczuciem prowadzić bliskich ku uzdrawiającemu spojrzeniu Ojca i ku płomykowi, którym jest Jego miłość.

Papież Franciszek przytoczył zdarzenie, które zwraca uwagę na jeden z najważniejszych aspektów ewangelizacji rodziny lub bliskich:

Opowiem historię młodego, 22-letniego człowieka, który cierpiał na poważną depresję. Mieszkał ze swoją mamą, która była wdową i prąla bieliznę bogatym rodzinom. Ów młody człowiek nie pracował i żył stale w alkoholowym zamroczeniu. Jego matka nie była w stanie mu pomóc: każdego ranka, nim wyszła do pracy, mogła tylko na niego patrzeć z wielką czułością. Dziś ów młody człowiek ma odpowiedzialną pracę: przewyciężył problem, bo wstrząsnęło

nim w końcu czułe spojrzenie jego matki. Musimy odtwarzać tę matczyną czułość¹.

Wyobraź sobie bliskie osoby, o których myślałeś, gdy sięgałeś po tę książkę. Przywołaj w pamięci ich uśmiech, chwile, gdy się śmieją w głos, i dobro, które mają w sercu, dobro, o którym ty wiesz. Być może pamiętasz czasy, gdy ich wiara była głęboka. Może masz jakieś świeże wspomnienia, chwile nadziei, gdy zdawało ci się, że owe osoby myślą o powrocie na łono Kościoła. Wyobraź je sobie na nowo w kościele, siedzące w ławkach, przyjmujące sakramenty, modlące się, mające silną więź z Bogiem.

Wyobraź sobie, kim twoi bliscy mogą być, kim byli, gdy znajdowali się tylko w umyśle Boga na początku stworzenia. Obdarz tych, których kochasz, czułym spojrzeniem dostrzegającym nie ich wady, grzechy czy upadki, lecz to, co w nich najlepsze, to, jacy są w głębi siebie. Spójrz na nich z wielką miłością i zrozumieniem, zobacz osobę, którą stworzył Bóg. Takie spojrzenie może zmienić naszych bliskich, bo to jest spojrzenie Boga. Za sprawą tego czułego spojrzenia, którym Ojciec obdarza swoje niesforne dzieci, możemy sprowadzić naszych bliskich z powrotem na łono Kościoła. To jest możliwe. Podążcie wraz ze mną drogą, która wskaże, jak to uczynić.

¹ Antonio Spadaro, *Wake up the World: Conversation with Pope Francis about the Religious Life*, przeł. D. Maldari, La Civiltà Cattolica, www.laciviltacattolica.it/articoli_download/extra/Wake_up_the_World.pdf, dostęp 13.01.2014.

Historia nadziei

Wiatr wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża. Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha.

(J 3,8)

Moja historia – tak jak historie innych ludzi, którzy oddalili się od Kościoła – jest historią zranienia, buntu i rozczarowania. Jednakże opowiada ona też o nigdy niekończącej się cierpliwości Boga i Jego nieprzemijającej miłości. Tak jak ojciec w przypowieści o synu marnotrawnym czekał cierpliwie na powrót swego syna, tak Bóg zawsze stoi w oknie, czekając na znak, że wracam. Jak syn marnotrawny wstąpiłam na drogę powrotną i Bóg wybiegł mi na powitanie, gdy zaczęłam pokonywać zakręt. Mój Ojciec wybiegł mi na powitanie i otoczył mnie swymi ramionami. Nie pytał, czy jestem naprawdę skruszona i czy nie opuszczę Go ponownie. Nie zadawał żadnych pytań. Zamiast tego przywitał mnie, ofiarował mi wspaniałą szatę i włożył pierścień na mój palec. Ta historia powrotu do Ojca jest historią każdego z nas, twoją, moją i twych bliskich. Opowiem wam o moim nawróceniu, byście

mogli zobaczyć w tej historii nadzieję dla waszych bliskich. Może się to różnić w szczegółach, ale modłę się, by wasi bliscy podobnie jak ja zdecydowali się wybrać drogę powrotu do domu Ojca, domu, w którym Bóg czeka, by wybiec im na powitanie.

MOJA HISTORIA

Gdy byłam dzieckiem, kochałam Boga całym sercem. Moi pobożni rodzice robili wszystko, by życie rodziny skupiało się wokół wiary katolickiej. Rytm kościelnego roku liturgicznego łączył się z rytmem życia naszej rodziny. Mój ojciec był profesorem na katolickim uniwersytecie. Od najmłodszych lat podzielałam jego entuzjastyczne podejście do ewangelizacji. Kiedy miałam zaledwie osiem lat, namówiłam go, by pozwolił mi uczestniczyć w prowadzonych przez niego zajęciach na temat ewangelizacji. Ku rozbawieniu jego studentów z zapałem wypełniałam zeszyt ćwiczeń. Towarzyszyłam ojcu w ewangelizacyjnych wędrówkach po mieście. Moje zainteresowanie cieszyło ojca, ale nikt nie wywierał na mnie wpływu – w moim sercu płonął prawdziwy ogień. Moja płomienna wiara była autentyczna, jednak nie na tyle silna, by wytrzymać podwójne działanie: cierpienia i zimnej logiki.

Mimo młodzieńczego zapału zawsze towarzyszyły mi naturalne wątpliwości. Po raz pierwszy zwątpiłam w istnienie Boga, gdy miałam około pięciu lat. Kiedy weszłam na drugie piętro rodzinnego domu, nagle, podstępnie jak wąż, wślizgnęła się do mojej głowy myśl: „A jeśli Bóg nie istnieje?”. Poczulałam się, jakby ściany mojego bezpiecznego, ciepłego domu runęły, znalazłam się w białej pustej przestrzeni, a w uszach świdrowała przenikliwa cisza. Natychmiast odsunęłam od siebie tę myśl, ale wątpliwość

pozostała, uśpiona, jak drzemiący wulkan pod wydawałoby się spokojną powierzchnią mojej duszy.

Z czasem moje wątpliwości co do tego, czy Bóg istnieje, pojawiły się na nowo, ponieważ cierpienia, które przyniosło z sobą życie, niczym ulewny deszcz stopniowo podmywały moją silną wiarę. Większość wyzwań stojących przed moją rodziną łączyła się z ludźmi i organizacjami związanymi z Kościołem. Praca zawodowa mojego ojca teologa oznaczała przede wszystkim ewangelizację i służenie Kościołowi. Na skutek problemów na uniwersytecie, a później w pracy na stanowisku kierownika edukacji religijnej w innej diecezji, ojciec ostatecznie zatrudnił się na świeckiej uczelni. Nie chciał przestać służyć Kościołowi, ale powszechne podziały polityczne go do tego zmusiły. W tym samym czasie ja z kolei spotkałam niestety katolików, w tym księży i zakonników, postępujących zgoła nie po chrześcijańsku. Byłam wrażliwym i podatnym na wpływy dzieckiem i wszystkie te wydarzenia zgorszyły mnie i spowodowały odsunięcie się od wiary.

Wszystko to, w połączeniu z innymi problemami rodzinnymi, na które nałożył się okres młodzieńczego buntu, stanowiło prawdziwą mieszkankę wybuchową. W efekcie jako czternastolatka, pogroziwszy Panu Bogu pięścią, odeszłam z Kościoła katolickiego. Rodzice, sądząc, że to tylko przejściowy okres, zmuszali mnie do chodzenia na mszę św. w niedzielę. Ale to był koniec. W sercu opuściłam Kościół. Kategoriecznie odmówiłam przystąpienia do bierzmowania, a kiedy rodzice napomykali o tym, ze złością pytałam ich, czy rzeczywiście chcą mnie zmusić do przyjęcia tego sakramentu. Powiedziałam, że jeśli chcą, bym była bierzmowana, będą musieli siłą zaciągnąć mnie do kościoła. Byłam wściekła i nie ufałam nikomu. Hipokryzja, którą dostrzegłam wśród chrześcijan, przekonała mnie do tego, że i bez Boga można być dobrym człowiekiem. Postanowiłam radzić sobie sama.

Wiara, którą rodzice starannie i systematycznie wpajali mi od dzieciństwa, się rozwiła. Z powodów, które jaśniej przedstawię później na łamach tej książki, moja wcześniejsza silna dziecięca więź z Bogiem osłabła, a w końcu została ostatecznie zerwana. Stałam się ateistką. Jako pełna złości idealistka i nonkonformistka szybko związałam się z młodzieżową subkulturą, z którą najłatwiej było mi się zidentyfikować: zostałam punkiem. Za sprawą koleżanki ze szkoły zaczęłam chodzić na imprezy punkowe i znikać na całe noce. Ścięłam moje długie włosy i zaczęłam je farbować: na różowo, ciemnoczerwono, na platynowy blond – cokolwiek, byleby nie było to coś normalnego. Porzuciłam wielkie kapelusze z opadającym rondem i kwiatowe wzory na rzecz agrafek, łańcuchów i anarchistycznych symboli. Wciąż należałam do najlepszych uczniów, co sprawiało, że mojego złego zachowania nie zauważano, ale równocześnie zaczął mnie wciągać mroczny świat. Nim moi rodzice to zauważyli, z cichego mola książkowego zmieniłam się w ponurą, złą nastolatkę.

Po skończeniu szkoły średniej zostałam przyjęta do elitarnego żeńskiego college'u na Wschodnim Wybrzeżu. Byłam zachwycona. Pasowało to do wyobrażenia, jakie o sobie miałam: inteligentnej, dobrze wychowanej ateistki, która pokaże światu, że do tego, by być dobrym człowiekiem, nie potrzeba jakichś wymyślonych bogów. Świat punków zostawiłam za sobą, stwierdziłam, że branie narkotyków i inne ryzykowne zachowania przeszkadzają mi w rozwoju. Oczywiście robiłam wciąż niektóre niebezpieczne rzeczy, ale już mnie one nie pochłaniały. Nadal jednak buntowałam się przeciwko zasadom, podkreślając swoją odmiennność. Słuchałam mrocznej niezależnej muzyki, czytałam książki poświęcone filozofii egzystencjalnej, angażowałam się w różne działania i jadłam tylko wegańskie potrawy.

Był to dziwny okres w moim życiu, gdy zbuntowane serce zaczęło na nowo szukać Boga, z czego nie zdawałam sobie nawet sprawy. A wszystko zaczęło się od rozmowy o cudach. Pewnego dnia siedziałyśmy z przyjaciółką na murku, machałyśmy nogami i gadałyśmy o transcendencji. Mimochodem wspomniałam, że wierzę w cuda. Moja przyjaciółka powiedziała: „Chodzi ci o dziwne sprawy, które wyjaśnia nauka?”. „No nie”, odrzekłam. „Jeśli coś da się wytłumaczyć, nie jest to cud”. Moja przyjaciółka trafnie zauważyła, że ateści zwykle nie wierzą w cuda. „Wiem”, mruknęłam. Gdybym wierzyła w cuda, musiałyby one mieć logiczną przyczynę. „Skąd się biorą cuda?”, zastanawiałam się. Od dawna nie wierzyłam w istnienie Boga, więc przez myśl mi nawet nie przeszło, iż to On może być ich przyczyną.

Moje naturalne zainteresowania zjawiskami nadprzyrodzonymi skłoniły mnie do poszukiwania odpowiedzi. Jak wielu poszukujących, wybrałam religię najdalszą od tej, w której zostałam wychowana. Zaczęłam czytać buddyjskie teksty i chodzić na wykłady poświęcone filozofii Wschodu. Zafascynowało mnie to. Zgłębianie buddyzmu pomogło mi zaakceptować tajemnicę i paradoks. Kiedyś poszłam na zorganizowany dla studentów wykład buddyjskiego mnicha. W pewnym sensie jego słowa sprawiły, że poczułam, jakbym wyszła poza codzienność. „Pożądanie jest źródłem cierpienia” – wydawało się to takie proste, a zarazem tak trudne! Zaczęłam się otwierać na głębszą rzeczywistość, kryjącą się za tym, co łatwo dostępne.

Moją uczelnię założyli kwakrzy, a w pobliżu znajdował się ich dom modlitwy, zatem z czystej ciekawości zaczęłam zgłębiać zasady ich wiary. Od czasu do czasu chodziłam na ich zgromadzenia (cotygodniowe nabożeństwa). Kwakrzy mieli niedogmatyczne nastawienie (innego bym nie zaakceptowała), co pozwoliło mi zacząć

na nowo odkrywać duchowość. Ludzie zbierali się w prostym drewnianym budynku, by spędzić godzinę w ciszy. Podczas spotkania każdy mógł wstać i podzielić się jakimś przesłaniem, jeśli odczuwał potrzebę. W tym spokojnym i pełnym znaczeń klimacie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zaczęłam analizować długie milczenie, które zbudowało mur między mną a Bogiem.

Skończywszy uczelnię – w ramach osobistych poszukiwań sposobu na to, by być dobrym człowiekiem i pomagać innym – wstąpiłam do organizacji Teach for America, która kierowała absolwentów do pracy w szkołach znajdujących się w biednych dzielnicach miast i na wsi. Latem po zrobieniu dyplomu przeszłam szkolenie i dostałam pracę jako nauczycielka trzeciej klasy w Miami. Pierwszego dnia w szkole, mając tylko 21 lat, siedziałam przy moim biurku z szeroko otwartymi oczami, podniecona, czekając na uczniów. Myśl o wielkiej odpowiedzialności, która na mnie spoczywa, napełniła moje serce lękiem. Bałam się, że jeśli sobie nie poradzę, jeszcze bardziej skrzywdzę moich podopiecznych. Większość z nich miała kłopoty w nauce. Po raz pierwszy w życiu pomyślałam, że mogę nie dać sobie rady.

Przez pierwszy miesiąc po powrocie do domu kładłam się na łóżku i płakałam. Żaden z uczniów nie czytał na wymaganym poziomie, a niektórzy w ogóle nie umieli czytać. Na koniec roku musieli zdać test z umiejętności czytania, by przejść do następnej klasy. Wiele dzieci miało problemy z zachowaniem. Ich kłopoty domowe, przemoc, której doświadczali, oraz trudne sytuacje rodzinne nie przestawały mnie szokować i smucić. Rozpaczliwie szukałam czegoś, co pozwoliłoby mi przetrwać. Doszłam do wniosku, że aby pomóc moim uczniom, sama muszę dojrzeć i dorosnąć.

Poszukując spokoju, zaczęłam medytować. Zupełnie mi się to nie udawało. Siedziałam na poduszce ze skrzyżowanymi nogami,

przysypiając i zastanawiając się, czy to jest takie nudne, czy to ja robię coś nie tak. Każdego ranka praktykowałam jogę, starając się skoncentrować. Podczas przerw obiadowych siedziałam przed szkołą, patrzyłam na białe obłoki, oddychałam głęboko i odliczałam godziny do końca dnia. Zaczęłam też co niedzielę chodzić na nabożeństwa do kwakrów. Znalazłam tam wsparcie ze strony dobrych i wykształconych ludzi. Niektórzy z nich, podobnie jak ja, wydawali się wątpić w istnienie Boga. Czułam się tam jak w domu. Ciągle jeszcze nie wyznawałam wiary w Boga, ale te duchowe praktyki uspakajały mojego ducha, a wspólnota wspierała mnie i pomogła mi utrzymać się na powierzchni.

Kiedy przestałam uczyć, wzięłam trochę wolnego i przeniosłam się ze swoim chłopakiem, który pisał doktorat, do Kalifornii. Złożyłam papiery na prawo i wyobrażałam sobie, że uczę w najlepszych szkołach i zmieniam świat. Mieszkałam w kampusie uniwersytetu, na którym studiował mój chłopak. Otaczali mnie ludzie sukcesu, wierzyłam we własny sukces, jednak wiedziałam, że coś jest nie tak. W mej duszy stopniowo tworzyła się głęboka rozpadlina – tak to czuło moje wrażliwe serce. Było źle, bardzo źle. Czułam się zdezorientowana, bo wszystko dookoła wydawało się w porządku. Wielu ludzi chciałoby żyć tak jak ja.

Ja jednak nie byłam szczęśliwa. Pewnego dnia siedziałam przed domem pod drzewem i łzy spływały mi po policzkach. Było mi strasznie smutno, ale nie wiedziałam dlaczego. Pocierałam wierzch dłoni w tę i z powrotem o szorstką korę drzewa, aż moja skóra stała się czerwona i starta do krwi. Chciałam, żeby mój wewnętrzny ból się uzewnętrznił. Czułam, że zwiariuję. Ktoś mógłby powiedzieć, że świetnie sobie żyję. Ale doświadczałam pustki, której nic nie było w stanie zapełnić. Dlaczego byłam taka nieszczęśliwa? Co to był za ból, który zdawał się rozrywać mnie od środka? Cóż to była za straszna pustka?

Miałam trochę wolnego przed rozpoczęciem jesienią studiów na prawie, więc postanowiłam wybrać się w podróż do Kostaryki. Mieszkałam u pewnej rodziny i pracowałam w pobliskim gospodarstwie: pielęłam ogródek, nosiłam drewno na opał i gotowałam. Wiejskie życie mi odpowiadało. Spartańskie warunki mieszkaniowe i praca fizyczna przynosiły mi wielką ulgę. Nic mnie nie krępowało, czułam się wolna od wszystkich życiowych komplikacji, których doświadczałam w Stanach Zjednoczonych. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo życie w większości krajów różni się od tego, co się dzieje w zasobnym świecie, w którym miałam szczęście się urodzić. Ubezpieczenie zdrowotne, zapasy, emerytura, oszczędności, wszystkie te rzeczy, którymi interesuje się absolwent studiów, nie miały znaczenia w tej wiejskiej okolicy. Jednak ludzie byli zadowoleni z tego, co mieli, i byli szczęśliwi. W rzeczywistości byli szczęśliwsi, mając dużo mniej niż większość osób, które znałam. Niepokój, który czułam niemal każdego dnia w moim normalnym życiu, zniknął. Pracując fizycznie i żyjąc z dnia na dzień, doświadczałam spokoju.

Szybko się zorientowałam, że niemal każda osoba spotkana przeze mnie w małym miasteczku, w którym mieszkałam, wierzy w Boga. Nawet jeśli nie chodzili do kościoła, obecność Boga była dla nich czymś oczywistym. Na początku próbowałam przekonać samą siebie, że są po prostu za mało wykształceni, by zrozumieć, że Bóg to idea, którą inteligentni ludzie w sposób naturalny odrzucają. Jednak ta psychologiczna taktyka na dłuższą metę się nie sprawdzała. Uświadomiłam sobie, że ci ludzie na wiele sposobów byli dużo bardziej dojrzały i inteligentni niż ja. Być może nie czytali Kanta czy Hegla, ale znali życie. Kiedy próbowałam wygłaszać wolnomyślicielskie opinie zepsutej Amerykanki, moi nowi przyjaciele obrzucali mnie rozbawionymi, ale cierpliwymi spojrzeniami. Początkowo ich reakcje wprawiały mnie w oburzenie i zakłopotanie, ale stopniowo zaczęłam sobie zdawać sprawę

z mojej niedojrzałości. Ci ludzie, którzy pracowali ciężko każdego dnia i tak łatwo wierzyli w Boga, wiedzieli o życiu więcej, niż ja dowiedziałam się o nim przez wiele lat kosztownej edukacji.

Arabela, matka rodziny, u której mieszkałam, była głęboko wierzącą katoliczką. Co tydzień chodziła ze swoimi dwiema córkami sprzątać kościół. Był to biedny betonowy budynek z sypiącymi się ścianami, jednak mieszkańcy miasteczka dbali o niego pedantycznie. Msza była odprawiana raz na dwa tygodnie ze względu na brak księży i usytuowanie kościoła w wiejskiej okolicy. W co drugi czwartek małe grupki starszych kobiet szły na mszę. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam je zdążające do kościoła w rześkim powietrzu poranka, ku memu zdziwieniu coś ciągnęło mnie, by przyłączyć się do nich. Zignorowałam to, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zwariowałam.

Pewnego dnia, gdy pracowałam w ogrodzie, tak bardzo mnie korciło, by pójść, że zacisnęłam zęby, próbując oprzeć się temu pragnieniu z całych sił. Ale z jakiegoś powodu coś się we mnie przełamało i się poddałam. Rzuciłam motykę i poszłam do kościoła. Inni wolontariusze pracujący ze mną w gospodarstwie patrzyli na mnie dziwnie. Czułam ich wzrok na swoich plecach. Gdy zbliżałam się do drzwi świątyni, wszystkie rozmowy nagle ucichły. Kobiety czekające na rozpoczęcie mszy patrzyły na mnie podejrzliwie i z lekkim obrzydzeniem. Nie byłam tu mile widziana. Byłam obca i nie zachowywałam się właściwie. Ale w tym momencie pojawiła się Arabela. Gdy mnie zobaczyła, wyglądała na zszokowaną, ale szybko na jej twarzy pojawił się uśmiech i pomachała do mnie.

Mszę odprawiał ksiądz z San José, stolicy Kostaryki. Doskonale mówił po angielsku i był zadowolony, że we mszy bierze udział obcokrajowiec. Podczas liturgii mówił wolno, bym mogła zrozumieć, a w homilię wplatał historyjki i dowcipy. Zaczęłam chodzić

do kościoła zawsze, gdy była odprawiana msza. Za każdym razem inne kobiety obdarzały mnie zimnymi spojrzeniami. Ale ksiądz, widząc mnie, był zadowolony, niezależnie od tego, że większość wiernych patrzyła na mnie z dezaprobatą. Z ciepłym uśmiechem wyciągał rękę na powitanie, a Arabela wskazywała miejsce obok siebie.

Pewnego dnia poszłam po mszy do miejscowego sklepiku spożywczego, który służył też miasteczku jako bar. Rozmawiałam z kimś z miejscowych, gdy do sklepiku wkroczył z jasnym uśmiechem na twarzy ksiądz. Wszyscy siedzący na trzech grubo ciosanych drewnianych ławach odwrócili się i spojrzeli na niego z zakłopotaniem. Część spojrzeń przypominała te, którymi obdarzano mnie, gdy przychodziłam na mszę. Według mnie było to starcie dwóch światów. Zastanawiałam się, czy ksiądz wie, że jestem oszustką, że spędzam w barze więcej czasu, niż kiedykolwiek poświęciłam go na modlitwę. Czy poprosi mnie, bym przestała przychodzić na mszę?

Głośno poprosił o wodę gazowaną i pożartował z barmanem. Potem usiadł obok mnie i zagadał. Byłam pod wrażeniem tego, jak bardzo szczęśliwy się wydawał. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, podczas gdy osoby przebywające w barze, a niechodzące do kościoła, przyglądały się nam nieufnie. W pewnym momencie zapytałam go, dlaczego został księdzem. „Byłem bardzo zdolnym prawnikiem pracującym dla wielkiej korporacji”, powiedział. „Miałem piękną narzeczoną”, kontynuował, a jego oczy przez chwilę zdawały się błędzić gdzieś daleko. „Wiodłem wspaniałe życie, ale czułem coś w moim sercu, czułem, że coś jest nie tak. Potem zacząłem się więcej modlić i uświadomiłem sobie, że Bóg powołuje mnie do kapłaństwa. Jak mógłbym odpowiedzieć: nie?”, rzekł z błyskiem w oku, patrząc na mnie tak, jakby wiedział, że go zrozumie.

Nie rozumiałam. Brzmiało to jak jakieś szaleństwo. Jednak coś poruszyło moje serce i przez chwilę pomyślałam, że moje życie – choć nie byłam osobą praktykującą – było dość podobne. Planowałam zacząć jesienią studia na prawie. Przypuszczałam, że w końcu poślubię mojego wspaniałego chłopaka. Jednak coś było nie tak. W kontekście osoby księdza nie mogłam zrozumieć, jak można być tak pogodnym, zrezygnowawszy ze szczęścia osobistego. Wydawało się to niezdrowe, jednak nie mogłam zaprzeczyć, że ten mężczyzna emanował radością. Skończyłam rozmowę, czując niepokój. Patrzyłam z góry na katolicyzm, a ten ksiądz – wykształcony, inteligentny, człowiek sukcesu – porzucił wszystko to, co ja sama planowałam, ze względu na Boga. Zastanawiałam się, jak może mieć on pewność, że Bóg istnieje. Nie zdawałam sobie sprawy, że za kilka dni zacznę to rozumieć.

Pewnego dnia, wcześniej rano, szłam z domu, w którym mieszkałam, do gospodarstwa, gdzie pracowałam. Patrzyłam na otaczające mnie góry i podziwiałam piękną zielenią na ich zboczach. Słuchałam radosnego śpiewu ptaków. Wypełniała mnie wdzięczność za ten dzień, za góry, za ptaki i za drzewa, których liście lekko szeleściły na wietrze. Wszystko wydawało się na swoim miejscu w przeciwieństwie do tego, jak to było w moim domu. Moja dusza nagle nabrzmiała, jakby nie była w stanie pomieścić wdzięczności. W tej chwili silny podmuch wiatru poruszył drzewami, pośród których szłam. Przestraszyłam się jego intensywności, a drzewa wydawały się trząść ze strachu wraz ze mną.

Nagle wypełniło mnie przekonanie: Bóg istnieje! Czułam Jego obecność tak, jak nie zdarzyło się to nigdy od czasu, gdy byłam dzieckiem. Przy czym Bóg, który mi się teraz przedstawiał, nie był jakimś uniwersalnym duchem czy istotą z literatury science fiction bezosobowo zarządzającą wszechświatem (takie idee brałam pod uwagę). Moje serce czuło, że Bóg jest Osobą, że czuje

i pragnie, i że kocha mnie głęboko i szczerze. Jego obecność była większa ode mnie, Jego wszechogarniający bezmiar wręcz pozbawił mnie oddechu. Jednak ta miłość czekała, by mnie sobą objąć, czekała na moje przyzwolenie. Wiedziałam, że nie mogę Mu się dłużej opierać, poddałam się.

Od razu wiedziałam, że moje życie się zmieni. W czasie lotu z Kostaryki do domu postanowiłam zrezygnować ze studiowania prawa, a także zdecydowałam się zerwać z moim chłopakiem. To był czas na nowy początek. Nie wiedziałam dokładnie, dlaczego. Czułam jednak, że tak będzie lepiej dla mnie i dla wszystkich. Bóg wiedział, dlaczego, i to mi wystarczyło. Wciąż nie uważałam się za katoliczkę. Prowadziłam takie życie jak dotąd. Na pozór niewiele się zmieniło. Minął rok, nim na nowo zaczęłam regularnie uczestniczyć w mszach, i kolejny, nim przystąpiłam do bierzmowania. Większość osób z mojego otoczenia nawet nie wiedziała, że coś się zmieniło. Ziarna łaski pączkowały po cichu, nim rozkwitły.

Kilka miesięcy po powrocie z Kostaryki wciąż wiodłam beztroskie życie. Mówiłam sobie, że muszę poczekać, aż Bóg jasno wskaże, czego ode mnie oczekuje, ale ponieważ nie wiedziałam dokładnie, jak to się ma stać, robiłam też swoje własne plany. Podjęłam tymczasową pracę, by oszczędzić na kolejną podróż do Ameryki Łacińskiej. Chodziłam na randki z różnymi mężczyznami, aż w końcu zaangażowałam się w związek z człowiekiem, który odebrał katolickie wychowanie. Od czasu do czasu chodził na msze, ale nie traktował swej wiary poważnie. Jednakże po raz pierwszy ktoś mi bliski – niebędący członkiem mojej rodziny – postrzegał katolicyzm jako coś dobrego. I choć nie przeżywał go dobrze, mogłam powiedzieć, że w głębi duszy chciał tego. Pewnego dnia, gdy rozmawialiśmy na temat religii, powiedziałam coś, co mogło sugerować, że uważam się za katoliczkę. Spojrzał na mnie rozbawiony i wykrzyknął: „Ty nie jesteś katoliczką!”. Zamilkłam

na chwilę i głosem, który z trudem można było uznać za mój własny, wypowiedziałam niespodziewanie takie słowa: „Tak, jestem katoliczką”.

Należę do osób typu: „wszystko albo nic”. W chwili, gdy te słowa wypłynęły z moich ust, wszystko się zmieniło. Proces oczyszczania zajął Panu Bogu trochę czasu – musiał usunąć wiele zewnętrznych niekonsekwencji (tak naprawdę Bóg będzie wciąż pracował nad tymi niekonsekwencjami). Jednak wewnętrznie słowa, które wypowiedziałam tego dnia, stały się podstawą nowego pragnienia, by zmienić swoje życie. Ku zdziwieniu mojego chłopaka wkrótce zaczęłam traktować wiarę dużo poważniej, niż on to czynił. Nasz związek szybko się skończył. Bóg zazdrośnie strzegł mnie i prowadził. Nawet jeśli zbaczałam z wyznaczonej przez Niego ścieżki, wykorzystywał to dla mojego dobra i cierpliwie popychał mnie do przodu tak długo, jak długo chciałam za Nim podążać.

Zaczęłam regularnie chodzić do pobliskiego kościoła. Wspólnota parafialna była różnorodna i bardzo żywa. Znalazłam tam przyjaciół, którzy pomogli mi uporządkować moje życie i skupić się na Bogu oraz Jego planach bardziej niż na sobie samej. Nigdy się nie spodziewałam, że wrócę na łono Kościoła katolickiego, teraz jednak wiedziałam, że Bóg bezbłędnie poprowadził mnie do miejsca, w którym się znajdowałam. Nie mogłam temu zaprzeczyć. Choć wciąż miałam wiele wątpliwości i kwestii spornych w odniesieniu do Kościoła, świadomość, że Bóg mnie tu przywiódł, sprawiała, iż mimo wahań czułam się bezpiecznie. Wkrótce zaczęłam się przygotowywać do bierzmowania. I gdy tylko się to stało, podjęłam na nowo coś, co z taką pogardą odrzuciłam, kiedy jako czternastolatka odmówiłam przyjęcia sakramentu.

Podczas przygotowań do bierzmowania walczyłam ze swoimi wątpliwościami i wszystkim tym, co przez wiele lat trzymało mnie z dala od Kościoła. Czułam, jak Duch Święty wkracza do mojego

życia, pomagając zrozumieć i zaakceptować wiarę. Nie stało się tak, że nagle znalazłam odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, ale dojrzałam na tyle, żeby poczuć się swobodnie w obliczu tajemnicy. Zaczęłam bardziej ufać Bogu i akceptować zarówno radości, jak i nieład chrześcijańskiej wspólnoty. W dniu bierzmowania poczułam, że moja dusza ponownie znalazła swoje miejsce, a pustka, której tak długo doświadczałam, zaczęła się zapełniać.

Ten wiersz napisałam, by oddać to, co czułam, gdy podczas bierzmowania moje czoło zostało namaszczone świętymi olejami:

Czuję, jak Duch Święty wlewa się do mojej duszy,
Oddycham głęboko
Pory mojej skóry się rozszerzają
Duch Święty, jak oleje, wlewa się do mej istoty, czyniąc
Siebie domem
Odnajduje ogień mojego Chrztu,
On płonie.
Zanurza Siebie w nim,
Łącząc się ze mną,
Odciskając swe imię jak pieczęć na moim sercu.
Dla czasu to chwila,
Ale poza czasem się to rozciąga.
Jestem w domu.

ROZDZIAŁ 2

Fundament pokory

*Jedyną drogą do królestwa
niebieskiego jest pokora¹.*

św. Augustyn

Kiedy przez kilka miesięcy mieszkałam na Kostaryce, większość czasu spędzałam na dworze, pracując w blasku słońca. Dzień przed moim nawróceniem pieliliam bazylię w ogrodzie, kiedy jeden z okolicznych rolników zatrzymał się przy mnie i powiedział. „Dzięki Bogu za ten dzień – prawda, Teresita”? Spojrzałam na niego, gdy tak stał w słońcu. Tak się cieszył z tego, że może ze mną dzielić tę chwilę... Nie chciałam go zawieść, ale ponieważ nie umiem kłamać, odpowiedziałam szczerze: „Chepo, ja nie wierzę w Boga, nie mam więc komu dziękować”. Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Nie był zirytowany moim wyznaniem, w jego wzroku dostrzegłam tylko współczucie i rozbawienie. Nie powiedział zbyt wiele, westchnął tylko i szurnął nogami: „Rozumiem, rozumiem. Byłaś taka uśmiechnięta...”, i zamilkł. Zapewniłam go,

¹ Św. Augustyn, *Lib. de salut* XXXII (tłumaczenie własne).

że mogę być szczęśliwa bez Boga, a on znowu spojrział na mnie z lekkim rozbawieniem, jego oczy były tak głębokie, mądre i przenikliwe, że miałam wrażenie, jakby wpatrywała się we mnie jakaś pierwotna istota. W tym momencie chciałam się z nim połączyć, chciałam zrozumieć źródło jego pewności, ale jedyne, co byłam w stanie zrobić, to spojrzeć na niego, mrużąc oczy.

Nawrócenie zależało właśnie od takich krótkich chwil, które zmieniały moje zawężone spojrzenie na życie, Boga i Kościół. W tych momentach ludzie pomagali mi stopniowo spojrzeć poza siebie i zrozumieć, że sens mogę znaleźć wyłącznie w moim Stwórcy. Najczęściej osoby, które skutecznie mi pomagały wzmocnić pewność siebie i nakłaniały do przemyślenia mojej wiary, nie robiły tego, używając skomplikowanych argumentów, ale pokory i prostoty.

Pokora jest absolutnie niezbędna w naszych kontaktach z bliskimi, którzy są poza Kościołem. Jeżeli nie zrozumiemy, jak ważna jest pokora, prędzej ich zranimy, niż nakłonimy, by wrócili na łono Kościoła.

Dlaczego pokora jest tak ważna w relacjach z bliskimi niepraktykującymi wiary? Po pierwsze, pokora to cecha, której potrzebują nasi bliscy, by mogli wrócić na łono Kościoła. Wiara zaczyna się od pokory. W encyklice *Lumen fidei* (Światło wiary) papież Franciszek pisze: „Wiara jest bezinteresownym darem Boga, który wymaga pokory...”². Droga wiary to proces, podczas którego spojrzenie na życie stopniowo przechodzi od skupienia się na sobie w kierunku Boga. Jeżeli nie ma w nas pokory, niewiele zrobimy, by zmienić nastawienie do wiary osób, które kochamy. (To bardzo istotna kwestia, do której powrócę później w tym rozdziale).

²Papież Franciszek, *Lumen fidei*, 14.

Po drugie, pokora jest ważna, ponieważ jeśli jej nie mamy, łatwo możemy wpaść w pułapkę myślenia, że jesteśmy odpowiedzialni za czyjś powrót na łono Kościoła. Takie nastawienie należy prawdopodobnie do najmniejbezpiecznych i prowadzi do poważnych błędów, które zniechęcają ludzi. Żeby naprawdę wieść życie, które przyciągnie innych do wiary, musimy odrzucić wszelkie tkwiące w nas ciągotki do bycia „zbawcami”. Nikogo nie zbawimy swoimi słowami ani czynami. Mamy Zbawcę i Jego imię brzmi: Jezus. Aby cokolwiek zmienić w życiu bliskich, musimy odrzucić wszelki egoizm tkwiący w naszym pragnieniu, by ktoś powrócił na łono Kościoła.

Ponieważ pokora jest podstawą i czymś niezbędnym w naszych relacjach z otoczeniem, poświęćmy jej analizowaniu trochę czasu. Jeśli nauczymy się rozumieć wartość pokory i pozwolimy, by cecha ta odgrywała coraz większą rolę w naszym życiu, wówczas możemy z szacunkiem porozumiewać się z bliskimi. Kiedy działamy w pokorze, możemy być pewni, że komunikujemy się z nimi tak, jak Bóg komunikuje się z nami.

BRUDZĄC PALCE

Czym więc jest pokora? Pokora to cecha, która sprawia, że nie boimy się ubrudzić. W języku angielskim słowo „humility” oznaczające pokorę wywodzi się od łacińskiego „humus”, czyli „ziemia, brud”. Głowa pokory znajduje się w chmurach blisko Boga, a jej gołe palce u nóg tkwią w błocie. Pokora stale mówi do Boga, tak jak ktoś mówi do przyjaciela. Pokora rozumie też jednak doskonale, że Bóg jest poza tym, co człowiek jest w stanie pojąć. Ci, którzy posiadli cnotę pokory, dostrzegają ogromny dystans dzielący człowieka od Stwórcy. Stąd brudne palce u nóg. Wszystko, co oddziela

nas od Boga, pograża nas w brudzie i pokrywa nasze palce błotem. Każdy ma brudne palce – człowiek pokorny o tym wie.

Ludzie pokorni wiedzą, że świętość możemy osiągnąć tylko przez otwarcie naszych serc na Bożą łaskę. Nasze własne wysiłki nic tu nie znaczą. Nie możemy uczynić nic więcej ponad otwarcie naszych serc. Już samo to jest łaską. I nie ma znaczenia, na jakim etapie życia jesteśmy, zawsze jest bowiem miejsce na większe otwarcie serca na Boga. Łatwo jest stracić perspektywę i pomyśleć, że skoro chodzimy na mszę i modlimy się regularnie, jesteśmy lepsi od osoby, która tego nie robi. Bóg może jednak uznać, że serce osoby będącej z dala od Niego jest czystsze niż nasze. Bóg ma okulary noktowizyjne i doskonały widok z lotu ptaka. Czas spędzony z Bogiem na modlitwie prowadzi do tego, że w sposób nieuchronny zdajemy sobie sprawę, iż Bóg nie widzi tak jak my, On widzi dużo więcej. Jeśli jesteśmy pokorni, rozumiemy, że w porównaniu z perspektywą Boga nasza przypomina raczej perspektywę mrówki: „Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje – nad waszymi drogami i myśli moje – nad myślami waszymi” (Iz 55,9).

Będąc pokorni, w końcu uświadamiamy sobie, że wszystkie niepowodzenia w relacjach z bliskimi może przezwyciężyć Bóg. On jest dużo większy niż nasze klęski. Uświadamiamy sobie też, że każdy sukces, który odnosimy w zbliżeniu do Boga naszych bliskich, to czysta łaska. Pokora nadaje wszystkiemu właściwą perspektywę.

POKORA JEZUSA

W swych przypowieściach Jezus lubił używać metafor inspirowanych przyrodą i światem Go otaczającym. Większości Jego

słuchaczy się to podobało, ponieważ byli oni solą ziemi, robotnikami Jego czasów. Jezus przychodził do ludzi tam, gdzie oni żyli. Nawet jeśli Jego przesłanie było trudne do zrozumienia, mówił z pełną pokory prostotą. Nie używał hermetycznego języka czy trudnych słów. Dostosowywał się do osoby, z którą miał do czynienia, zwracając się do niej szczerze i jasno. Czasem Jezus mówił gniewnie i z pozycji boskiego autorytetu, a czasem łagodnie. Zawsze jednak mówił prosto.

Siedemnastowieczny matematyk i filozof Blaise Pascal stwierdził:

Chrystus powiedział rzeczy tak wielkie tak prosto, iż zda się, jak gdyby nie oceniał ich wielkości; a wszelako tak jasno, iż widzi się dobrze, co o tym sądził. Ta jasność połączona z tą prostotą jest cudowna³.

Dlaczego Jezus wybrał taki styl porozumiewania się? Musiał On wiedzieć, że najlepiej mówić o niebie w sposób prosty. My także możemy naśladować Jezusa i ujmować wszystko prosto. Nie musimy dzielić się wiarą w sposób nadmiernie uproszczony, ale możemy podążać drogą prostoty, która dociera do istoty rzeczy. Wreszcie, jeśli nasze rozmowy nie prowadzą naszych bliskich do Boga, nie będą owocne.

Sposób, w jaki Jezus się porozumiewał, mówi nam coś o pokorze Boga. Prostota znaczy, że dany człowiek nie skupia się na sobie, lecz na prawdzie. Jezus postanowił mówić o Ojcu i o niczym więcej. Pragnienie bycia pokornym to pragnienie bycia jak Jezus, który stale był oddany Bogu. Nasze oddanie Bogu wyraża

³ Blaise Pascal, *Myśli*, 797, przeł. T. Boy-Żeleński, za: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pascal-mysli.html>, dostęp 30.04.2018.

się w pięknie prostej pokory, owocu połączenia naszej woli z wolą Boga. Wszystko to brzmi bardzo prosto, jednak tak naprawdę nie jest łatwo pozwolić Bogu stłumić nasze ludzkie pragnienie, by żyć własnym życiem i skupić się na sobie. Nie jest łatwo oddać się Bogu w pokorze. Ponieważ jednak Bóg stworzył nasze serca, możemy być pewni, że więź z Nim prowadzi do życia bardziej odpowiadającego naszym prawdziwym pragnieniom. A kiedy żyjemy w zgodzie z naszymi najgłębszymi pragnieniami, pociągamy innych do szukania więzi z Bogiem, co prowadzi do radości.

Święty Paweł przypomina nam o pokorze Chrystusa, tak pisząc w swoim Liście do Filipian (2,5–8):

To dążenie niech was ożywia; ono też było w Chrystusie Jezusie.
On, istniejąc w postaci Bożej,
nie skorzystał ze sposobności,
aby na równi być z Bogiem,
lecz ogołocił samego siebie,
przyjąwszy postać sługi,
stawszy się podobnym do ludzi.
A w zewnętrznym przejawie, uznany za człowieka,
uniżył samego siebie,
stawszy się posłusznym aż do śmierci –
i to śmierci krzyżowej.

Choć był Bogiem, ogołocił siebie samego. Greckie słowo użyte przez Pawła to „kenóō”, które oznacza „ogolocić” i odnosi się też do ubywania Księżyca. Obraz ubywającego Księżyca pomaga wyjaśnić, co Paweł miał na myśli, mówiąc, że Jezus „się ogołocił”. Księżyca przybywa, a potem ubywa, ale nigdy nie traci on nic ze swej istoty. Półksiężyc to wciąż cały księżyc, tyle tylko, że nie jest widoczny w całości dla człowieka. Kiedy księżyc jest w pełni, to po prostu odbija światło słoneczne, ale jego pełnia nigdy się nie

zmienia. Tak samo Jezus pozostaje w pełni Bogiem, kiedy staje się człowiekiem. Porzuca On jednak olśniewający blask swej boskości po to, by przyjąć pospolitość ludzkiej natury.

Paweł kontynuuje:

Dlatego też Bóg Go nad wszystko wywyższył
i darował Mu imię
ponad wszelkie imię,
aby na imię Jezusa
zgięło się każde kolano
istot niebieskich i ziemskich, i podziemnych.
I aby wszelki język wyznał,
że Jezus Chrystus jest PANEM
– ku chwale Boga Ojca (Flp 2,9–11).

Przez swą śmierć, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie Jezus przybliżył ludzi do Bożej światłości po to, by przywrócić nam naszą przyrodzoną godność. Zwrócił nam to, co ludzie stracili przez grzech Adama i Ewy. Jednak Bóg, który jest niedościgniony w swej szczodrości, nie poprzestał na tym. Nie tylko dostaliśmy z powrotem to, co straciliśmy, ale Bóg dał nam jeszcze więcej. To dlatego w wigilię Wielkanocy śpiewamy: „O, szczęśliwa wina... O, zaiste konieczny był grzech Adama, który został zgładzony śmiercią Chrystusa!”. W rzeczywistości taka sytuacja jest dla nas lepsza, niż gdyby Adam i Ewa nie spróbowali nigdy zakazanego owocu.

Można pragnąć być prawdziwie pokornym jak Bóg, ponieważ Jezus sprawił, że jest to możliwe. Ogołacając się i stając się człowiekiem, Jezus przywrócił ludziom ich przyrodzoną godność i dał możliwość stania się bardziej podobnymi do Niego. Z Drugiego Listu św. Piotra dowiadujemy się, że „zostały nam udzielone drogocenne i największe obietnice, abyście się przez nie stali

uczestnikami Boskiej natury” (2 P 1,4). Wczesnochrześcijańscy ojcowie Kościoła nazywali tę niebiańską możliwość „przebóstwieniem”. Święty Atanazy ujął to pokrótce tak: „Bóg stał się człowiekiem, abyśmy zostali przebóstwieni”⁴. Oto jak Bóg wniknął w nas. Przez grzech Adama zyskaliśmy Jezusa. Łaska, którą Adam i Ewa stracili, została przywrócona. Szatan kusił Ewę w ogrodzie Edenu, mówiąc, że będą „tak jak Bóg” (Rdz 3,5). To było kłamstwo. Nie polegając na Bogu i nie stosując się do Jego poleceń, Adam i Ewa stracili szansę stania się takimi jak Bóg. Za sprawą Jezusa odzyskaliśmy ten dar.

Jeśli rzeczywiście wierzymy, że zostaliśmy obdarzeni łaską stania się jak Jezus, wówczas możemy stawiać milowe kroki na drodze naszego życia duchowego. I im bardziej stajemy się jak Jezus, tym bardziej przypominamy okno przyciągające innych do Boga poprzez źródło światła, które z nas bije.

DLACZEGO POKORA?

Święty Augustyn, jeden z największych konwertytów w historii Kościoła, uważał pokorę za podstawową cnotę: „Jeśli chcesz być wielki, zaczynaj od rzeczy małych. Połóż głęboki fundament pokory, skoro zamierzasz budować wysoko”. Święty Tomasz z Akwinu nie uważał pokory za największą cnotę, ale podobnie jak św. Augustyn uznawał ją za podstawę. Pisał o niej jako o tej, która usuwa przeszkody na drodze do innych cnót⁵. To trafne podejście, prawda? Nawet jako cnota pokora zajmuje unizone miejsce, stanowiąc oparcie dla innych.

⁴ Św. Atanazy, *De incarnatione Verbi*, 54, PG 25, 191–192.

⁵ Por. św. Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, II–II, q. 161, a. 5.

Kiedy zwracamy się do kogoś, kto jest poza Kościołem, ważne jest, by nasze spotkanie pomogło w rozwoju jego wiary, czy to wiary w Boga, czy – jeśli dana osoba wierzy już w Boga – wiary w to, że Jezus powołał do życia Kościół katolicki. Jeśli przyjmujemy, że cnota wiary jest jak drzewo, które trzeba posadzić, to najpierw z gleby należy usunąć chwasty i kamienie. Święty Tomasz z Akwinu mówi nam, że cnotą, która to uczyni, jest pokora. Pokora zakasuje rękawy i urabia się po łokcie, oczyszczając glebę, by przygotować ją na przyjęcie kruchego drzewa wiary. Oto dlaczego pokora – choć może nie jest „największą” cnotą – stanowi podstawę i jest konieczna, kiedy podejmujemy działania wobec naszych bliskich.

Pokora jest niezbędna nie tylko im, by mogli wzrastać w wierze, ale i nam. Dlaczego? Dlatego, że podejmując dialog, często szukamy w drugiej osobie sygnału, który wskazałby nam, jak powinniśmy reagować. Wyobraź sobie, że siedzisz w sobotnie popołudnie na kanapie i czytasz wspaniałą książkę, wygrzewając się w promieniach popołudniowego słońca wpadających przez okno. Nagle wparowuje przyjaciel i mówi oskarżycielskim tonem: „A ty co tak tu sobie siedzisz? Jeśli chcesz jechać na rynek, musimy się szybko zbierać, bo za chwilę będą się pakować!”. Nawet jeżeli chciałeś pojechać na rynek, gwałtowne wejście przyjaciela do pokoju i jego agresywna postawa mogą sprawić, że poczujesz się zaatakowany. Zamykasz się więc w sobie i mówisz: „Nie jadę!”, z największą siłą, jaką jesteś w stanie z siebie wykrzesać, po czym wracasz do lektury książki.

Nasze podejście do danej osoby często determinuje to, w jaki sposób ona zareaguje. Jeśli potraktujemy ją z pokorą, często odpowie nam ona tym samym. Jednakże gdy zaczniemy rozmowę agresywnie lub z przekonaniem o własnej nieomyślności, prawdopodobnie zareaguje tak samo i będzie się starała jak najszybciej

zakończy rozmowę. Sadzonka wiary nie przyjmie się pośród kamieni i cierni. Jeśli wybierzemy drogę pokory, możemy obudzić pokorę w osobie, do której się zwracamy, a przy okazji oczyścić grunt i położyć fundamenty pod gmach wiary. Papież Franciszek kładzie na to nacisk, kiedy mówi, że chrześcijanie powinni głosić Ewangelię w taki sposób, by została ona przyjęta, a nie odrzucona. Dobra Nowina zasługuje na to, by była opakowana w sposób, który odzwierciedla jej dobroć. Zasługuje też na to, by przekazywać ją w sposób, który sprawi, że istnieje większe prawdopodobieństwo, iż zostanie przyjęta. Pokora spełnia oba te wymogi: odbija dobroć i prostotę Boga i sprawia, że istnieje większe prawdopodobieństwo, iż nasze przesłanie zostanie przyjęte.

Bycie pokornym to nie tylko dobra strategia we wzajemnych relacjach, to także część naszego powołania jako chrześcijan. Święty Paweł pisze w Liście do Kolosan: „Jako więc wybrańcy Boży – święci i umiłowani – obleczcie się w serdeczne miłosierdzie, dobroć, pokorę, cichość, cierpliwość” (Kol 3,12). Paweł zachęca nas jako chrześcijan do tego, abyśmy zrzucili z siebie wszystko to, co nie pochodzi od Chrystusa, i przyodziali się w Niego. W naszych wzajemnych relacjach często postępujemy na odwrót. Przyodziewamy się w starannie skonstruowane maski dumy i inne mające nas obronić, zamiast w pokorę i potulność. Trzymamy się tego naszego wizerunku i niestety często własny obraz, który tworzymy, przypomina raczej tyrańskich bogów niż ludzi. Stanie się pokornym oznacza wreszcie zrzucenie samodzielnie stworzonego przebrania i przyjęcie tego, jacy naprawdę jesteśmy: piękni i niezbyt piękni. Robimy to, bo nie możemy przyjąć Boga, który jest Prawdą, jeśli kłamiemy i udajemy, że jesteśmy kimś, kim nie jesteśmy.

W wypadku duchowości chrześcijańskiej często mówimy o wzrastaniu w pokorze jako o „umieraniu dla siebie”. Nie brzmi to dobrze, ale sens, który się za tym kryje, jest dużo piękniejszy

niż sama fraza. Pokora to z pewnością umieranie dla siebie, ale umieranie dla siebie fałszywego, podczas gdy wzrastamy w pokorze. Gdy umieramy dla siebie, pozostawiamy za sobą nasze fałszywe wyobrażenia o sobie, nasze koncepcje na temat tego, co jest ważne, oraz nasze precyzyjne plany. Jedynie wówczas, gdy wszystko to zostawimy za sobą, możemy się otworzyć na odkrycie tego, co to znaczy być w Bogu. Tylko umierając i ogoławając siebie z wszystkiego, co nie pochodzi od Boga, możemy zostać napełnieni Bogiem.

Umieranie dla fałszywego siebie jest ważne niezależnie od tego, czy pomaga nam się to porozumiewać z bliskimi, czy nie. Wzrastanie w pokorze stanowi kluczową część duchowej podróży. Jednak pragnienie, by nasi bliscy wrócili do Kościoła, daje nowy bodziec naszej potrzebie pokory. Musimy stać się pokorni, ponieważ nasze fałszywe ja nie wie, jak ewangelizować – jest zbyt skupione na sobie! Jeśli chcemy skutecznie zaprosić innych do powrotu na łono Kościoła, trzeba im pokazać, co nasza wiara dla nas zrobiła. Poza tym, jeśli praktykowanie wiary nie prowadzi nas do porzucenia naszych przebrań, naszych bożków i naszych fałszów, to nasi bliscy będą się zastanawiać, dlaczego powinni wrócić do Kościoła, którego członkowie zachowują się tak jak każdy!

WZRASTANIE W POKORZE

Wartość pokory można stosunkowo łatwo dostrzec, lecz dużo trudniej jest stać się tak naprawdę pokornym. Wzrastanie w pokorze to podróż trwająca całe życie. Na szczęście nie musimy osiągnąć stanu doskonałej pokory, nim zaczniemy się dzielić naszą wiarą. Dzieło ewangelizacji to dzieło Ducha Świętego. Jeśli pozwolimy Mu kierować naszymi słowami, możemy być pewni, że

pomoże nam On porozumiewać się w pokorny sposób, nawet jeśli nie będziemy jeszcze mistrzami w cnocie pokory. Jednakże choć z pewnością musimy polegać na pomocy Ducha Świętego, to nie możemy się spodziewać, że staniemy się pokorni z minuty na minutę, bez żadnego wysiłku. Stawanie się pokornym wymaga walki; oto, w jaki sposób możemy pracować nad wzrastaniem w tej cnocie.

MÓDL SIĘ O POKORĘ

Pierwszym krokiem na drodze pokory jest uświadomienie sobie, że osiągnięcie jej jest niemożliwe bez modlitwy. Nie możemy ominąć tego kroku, jeśli autentycznie pragniemy wzrastać w pokorze. Oczywiście proszenie Boga o pokorę jest prawdopodobnie ostatnią rzeczą, której zarówno ty, jak i każdy rozsądny człowiek, by pragnął. Jeśli modliłeś się już kiedyś o pokorę, to zapewne wiesz, że Bóg szybko odpowiada na tę prośbę, stwarzając możliwości praktykowania owej cnoty. Jednak wielu z nas nie bardzo chce ją praktykować, ponieważ zaakceptowanie możliwości, że staniemy się mniejsi, mniej zadufani w sobie, mniej zauważalni i mniej podziwiani, może być trudne.

Modląc się o pokorę, uczymy się, że nie jest nam pisane być najważniejszymi w naszym życiu. Bóg stopniowo pomaga nam się pozbyć fałszywego poczucia wyższości i przekonania, że otoczenie powinno nas traktować w szczególny sposób. Bóg, odpowiadając na nasze modlitwy, pomaga nam dostrzec, jak bardzo i na różne sposoby jesteśmy przywiązani do pewnego obrazu samych siebie. Lubimy wierzyć, że zasługujemy na łatwiejsze zadania, większy kawałek ciastka, pochlebne komentarze i pochwały ze strony innych osób. Lub – jeśli mamy skłonność do popadania w przeciwną skrajność – myślimy, że jesteśmy brzydcy, bezwartościowi

i niedobrzy. Pochłania nas to, czego nie możemy osiągnąć, albo skupiamy się na sobie. Żadna z tych rzeczywistości nie jest jednak prawdziwa, módlmy się więc do Boga, by prowadził nas do prawdy.

Możemy być pewni, że gdy prosimy o pokorę, Bóg odpowie na nasze modlitwy. Jezus mówi nam w Ewangelii według św. Mateusza:

Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Albowiem każdy, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a kołaczącemu otworzą (Mt 7,7–8).

Trzeba wierzyć, że Bóg odpowie na naszą modlitwę, ale ważne jest też, by mieć oczy szeroko otwarte i zauważyć różnorodność sposobów działania Boga w naszym życiu oraz wiele możliwości zachowania się z pokorą, które On nam ześle.

PRZYMIJMY MOŻLIWOŚCI WZRASTANIA W POKORZE

Kiedy po raz pierwszy zaczęłam się modlić o pokorę, Bóg błyskawicznie dał mi wiele możliwości wzrastania w tej cnocie. Przyjęły one postać drobnych upokorzeń. Ktoś zachował się wobec mnie niegrzecznie, a ja zdałam sobie sprawę, że w ten sposób zostałam zaproszona do tego, by zareagować ze spokojem. Ktoś ze złośliwą satysfakcją wykazał, że nie miałam racji, a ja mogłam w tym dostrzec sugestię, by pominąć milczeniem ten komentarz. W końcu ta metoda pedagogiczna Boga przejadła mi się i powiedziałam Mu o tym. Bóg pomógł mi zrozumieć, że byłam w błędzie, myśląc, że jeśli się modlę o pokorę, On natychmiast tchnie we mnie pokornego ducha. Niestety modlitwa o pokorę to nie magiczne zaklęcie.

Nie spełnia się natychmiast, przynajmniej w większości przypadków. Zamiast tego powoli, czasem boleśnie, wraz z upływem czasu uczymy się akceptować drobne upokorzenia, ponieważ wiemy, że dzięki temu staniemy się bardziej podobni do Jezusa.

Modląc się o pokorę, możemy czasami zachowywać się jak dziecko, które chce się nauczyć pływać. Bóg wrzuca nas do wody, a my natychmiast krzyczymy: „No nie, woda jest zimna! To nie-fajne!”. Jeśli jednak pragniemy wzrastać w pokorze, musimy się modlić i reagować na odpowiedzi Boga na naszą modlitwę. Przyjmują one postać drobnych upokorzeń, które możemy z całą mocą i pogardą odrzucić, mając nadzieję na coś innego, lub zaakceptować, ufając, że Bóg wie najlepiej. Jeśli nie korzystamy z możliwości wzrastania w pokorze, a jednocześnie wciąż się o nią modlimy, ignorujemy w ten sposób odpowiedź na nasze modlitwy i postanawiamy nie reagować na zaproszenie Pana.

Czasami relacje z bliskimi mogą być właśnie możliwością, którą Bóg nam daje, byśmy stali się pokorniejsi. Może nas kusić, by wdać się z kimś w ostry spór na temat wiary, lub reagujemy złością na agresywny antykatolicyzm. W obu wypadkach, nawet jeśli jesteśmy w stanie ze swadą bronić naszej wiary, czasem lepiej powstrzymać się od jakiegokolwiek komentarza. Bywa, że trudno milczeć, jeśli zwykliśmy wygłaszać własne zdanie, jednak drobne upokorzenie jest czasem tym, czego nam potrzeba, by wzrastać w pokorze. Niekiedy nasi bliscy chcą się z nami podzielić tym, co czują, bez osądu i niezgody z naszej strony, a my powinniśmy się nauczyć słuchać w milczeniu i nie wypowiadać naszych wspaniałych racjonalnych argumentów. Bywa też odwrotnie. Czujemy, że wycofujemy się ze strachu i unikamy sporu, kiedy Bóg oczekuje od nas, byśmy pokornie i odważnie wyznali naszą wiarę. W jeszcze innym wypadku pokorne zaakceptowanie Bożej woli może przynieść lepsze owoce niż mądre słowa czy pełne obaw milczenie.

JAK ROZPOZNAĆ, KIEDY MILCZENIE JEST NAJLEPSZYM WYJŚCIEM

Cnota pokory pozwala nam rozpoznać, kiedy milczenie jest najlepszą odpowiedzią. Pomaga nam określić nasze fizyczne i emocjonalne granice oraz zorientować się, kiedy musimy się wycofać. Możemy być marudni albo poirytowani, a wtedy trudno odpowiadać komuś z pokorą. Jeśli tak się właśnie czujemy i chcemy ostro wypowiedzieć się w kwestiach wiary, lepiej wtedy milczeć. Jeśli brak nam motywacji, zawsze możemy sobie przypomnieć, że trening samokontroli to pokuta, którą możemy ofiarować w intencji nawrócenia bliskich. Bywa, że przynosi to lepsze owoce niż ostre słowa. Nawet jeśli powiemy coś niewłaściwego, może to być doskonała okazja, by przyjąć do wiadomości, że każdy popełnia błędy, i zmienić się na lepsze. Czasem pokorna prośba o przebaczenie może stworzyć nic zaufania i poprawić relacje. Bóg działa na wszelkie sposoby.

SZANUJMY OGROMNĄ PRZESTRZEŃ PRAWDY

W Liście do Efezjan św. Paweł zachęca chrześcijan, by żyli „prawdziwie w miłości” (Ef 4,15), byśmy się mogli stać bardziej podobni Chrystusowi. Kiedy mówimy komuś prawdę z miłością, ważne, byśmy pamiętali często powtarzane powiedzenie: „Pokora jest prawdą”. Jeśli będziemy to mieli w tyle głowy, będziemy mogli przekazywać prawdy o Kościele podobnie, jak czynił to Chrystus. Im bardziej jesteśmy podobni do Chrystusa, tym bardziej jest prawdopodobne, że nasi słuchacze otworzą się na nasze przesłanie.

Jako członkowie Kościoła katolickiego wierzymy, że Jezus założył Kościół. To łaska, jeśli wierzymy, że można ufać wierze

i moralnemu nauczaniu Kościoła niezależnie od tego, że członkowie Kościoła czasem upadają. W dzisiejszych czasach obdarzanie biurokratycznych, tworzonych przez ludzi instytucji zaufaniem w kwestii wskazywania nam tego, co jest dobre, a co złe, jest postrzegane jako postawa naiwna i błędna. Pośród skandali, grzechu, wystawiania na pośmiewisko i nienawiści trwanie w wierze w Kościół jest darem od Boga. Nie ma sensu przypisywać samemu sobie zasług w związku z tym, że wierzymy w coś tak radykalnie kontrkulturowego.

Jednakże choć możemy się zgodzić co do tego, że Kościołowi można ufać i wierzyć w kwestiach wiary i moralności, musimy pamiętać, że jako ludzie wędrujemy po czymś, co lubię nazywać „małym p” – po przestrzeni prawdy. Inaczej mówiąc, Jezus jest Prawdą. Bóg jest kompletną, budzącą podziw Prawdą. Jako ludzie mamy rozum, więc możemy poznać prawdę, jednak nigdy nie poznamy pełnej Prawdy (przez duże P), przynajmniej w tym życiu. Jezus pozostawił nam bardzo jasne nauczanie, a Kościół je kontynuuje pod przewodnictwem Ducha Świętego. Możemy uznawać to za prawdę, ale jeśli jesteśmy pokorni, możemy być pewni, że nie do końca rozumiemy każdy aspekt wiary i wszystkiego, co uznajemy za prawdziwe.

Na przykład możemy wiedzieć, że samochód jest zielony. Jednak możemy nie rozumieć, w jaki sposób receptory w naszych oczach postrzegają ten samochód jako zielony. Możemy też wiedzieć lub nie, że na postrzeganie koloru przedmiotu ma wpływ światło, a nawet barwa przedmiotu znajdującego się obok. Inaczej mówiąc, jeśli rozmawiamy o prawdzie z tymi, których kochamy, ważne jest, byśmy zawsze pamiętali o tym, że mamy ograniczoną perspektywę. Możemy wiedzieć, czego Kościół naucza na dany temat, ważne jest jednak także, by wysłuchać zarzutów. Podejźmy do nich z pokorą, a nie z przekonaniem, że Kościół nie może się mylić. Przyjmijmy założenie, że nasze rozumowanie może być błędne lub ograniczone.

Jeśli jesteśmy otwarci na to, by z pokorą podjąć dyskusję o zastrzeżeniach zgłaszanych przez daną osobę wobec nauczania Kościoła, możemy się wiele nauczyć, niezależnie od tego, czy się zgadzamy z jej stanowiskiem, czy nie. Kiedy jesteśmy gotowi uczyć się od innych, oni stają się często bardziej otwarci na to, co my mamy im do powiedzenia. Przyjaciel przypomniał mi kiedyś stare porzekadło: „Nawet zepsuty zegarek dwa razy dziennie wskazuje właściwą godzinę”. Może nam ono pomóc szukać w polemice z daną osobą tych argumentów, w których wypadku wskazuje ona „właściwą godzinę”. Niektórzy ludzie mogą wyciągać niewłaściwe wnioski, ale niekoniecznie znaczy to, że wszystko, co mówią, jest niesłuszne. Nawet jeśli ktoś ewidentnie się myli, można przypuszczać, że ma też jakieś trafne uwagi, i szukać ich w rozmowie. Niezależnie od sytuacji pełne pokory podejście ma sens, ponieważ może sprzyjać podstawowej postawie, która jest danej osobie potrzebna, by przyjąć ziarno wiary.

WNIOSEK

Młodszy z nich [synów] rzekł do ojca: „Ojcze, daj mi część majątku, która na mnie przypada”. Podzielił więc majątek między nich.
(Łk 15,12)

Kiedy syn marnotrawny żąda swego spadku, w istocie mówi: „Ojcze, życzę ci śmierci”. Ojciec nie reaguje złością, on po prostu daje swemu synowi to, czego ten żąda. Nie kłóci się, nie pochlebia ani nie prosi. Zdaje sobie sprawę, że jego syn nie jest w stanie usłyszeć głosu rozsądku. Ojciec z przypowieści o synu marnotrawnym jest przykładem pokory. Dostrzega prawdę i odpowiada na nią, nie dbając o własny wizerunek czy reputację.

Słuchanie Ducha Świętego

Z drugiej strony, synowi bardzo brakuje pokory. Myśli, że może żyć po swojemu z dala od ojca, czuje, że go nie potrzebuje. Wyrusza więc sam. Dobrze to znamy: możemy to porównać z sytuacją, gdy staramy się robić wszystko na własną rękę, czasem latami, czasem chwilami w ciągu dnia. Wszyscy odrzucamy Boga do momentu, gdy czujemy, że znajdujemy się w „dalekich stronach”, z dala od Niego (por. Łk 15,13). To dynamika grzechu, której wszyscy doświadczamy.

Kiedy syn postanawia wrócić do domu, staje się jasne, że zrozumiał prawdę sytuacji. „Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem” (Łk 15,21). Nie jestem godzien. Te słowa wypowiadamy przed przyjęciem Ciała i Krwi Jezusa w Eucharystii. Te słowa to melodia pieśni opowiadającej o więzi człowieka z Bogiem. Jak syn marnotrawny nie jesteśmy godni miłosiernej miłości Ojca, ale ją mimo wszystko otrzymujemy. Dlaczego ją otrzymujemy? Ponieważ Ojciec, w swej pokorze i miłości, chce nam dać to, na co nie zasługujemy. Dzieje się tak jednak tylko wówczas, gdy dostrzegamy prawdę sytuacji. Kiedy jasno widzimy swój grzech, jesteśmy w stanie zobaczyć miłosierdzie Ojca.

Postawa pokory jest konieczna do nawrócenia, zarówno naszego, jak i naszych bliskich. Naśladujmy Ojca w Jego pokornej miłości.

Chrystus nie ma na ziemi innego ciała poza twoim, nie ma innych rąk poza twoimi, innych stóp poza twoimi; do ciebie należą oczy, którymi współczucie Chrystusa patrzy na świat, twoje są stopy, dzięki którym się porusza, by czynić dobro, i twoje są dłonie, którymi nas teraz błogosławi.

słowa przypisywane św. Teresie z Ávili

Po nawróceniu mieszkałam przez wiele lat w Oakland w stanie Kalifornia. Poznałam tam wielu bezdomnych, którzy stawali się elementem krajobrazu w moim sąsiedztwie. Jeden z tych mężczyzn o imieniu Slim był chudy i miał długie włosy, które wyglądały tak, jakby ich nie ścinał od czasu, gdy był hipisem. Szeroko się uśmiechał i zawsze zdawał się cieszyć, że żyje. W ulicznych zaułkach spotykałam też Billy'ego. Śpiewał bluesowe kawałki i podsuwał przechodniom swój kapelusz, by wrzucali do niego drobne monety. Było jeszcze wielu innych bezdomnych, ale jeden z nich odstawał od reszty. Chodził w łachmanach, a jego włosy były matowe – wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł z lasu. Był

tak zapuszczony, że na jego skórze dało się dostrzec warstwy brudu, a pod paznokciami miał czarne obwódki. Był zawsze ponury, twarz bez wyrazu i zaniedbany wygląd wskazywały, że ma jakieś problemy psychiczne. Gdy szedł ulicą, ludzie unikali spotkania z nim, wchodzili do sklepów albo mijali go, z zakłopotaniem wpatrując się w chodnik.

Pewnego dnia, kiedy jechałam z pracy do domu, zobaczyłam tego mężczyznę siedzącego w parku. Gdy go mijalam, coś kazało mi kupić mu jakieś jedzenie. Wiedziałam, że prawdopodobnie podpowiedział mi to Duch Święty, ale byłam przestraszona. Jechałam więc dalej w stronę domu, z trudem próbując zignorować to, co poczułam. Ze złością rugałam Boga: „Nie mogłeś skłonić mnie, by pomogła jakiemuś sympatyczniejszemu bezdomnemu z okolicy?”. Wciąż jadąc, zaczęłam się czuć winna: „Być może ten człowiek naprawdę jest głodny”, pomyślałam. „Nie należy do tych osób, którym ludzie chcieliby pomóc; wystarczy popatrzeć, jak ja sama zareagowałam na pomysł, by kupić mu coś do jedzenia!”. Zawróciłam więc i udałam się do najbliższego sklepu. Kupiłam kanapkę, jakieś owoce i deser.

Podjechałam i zobaczyłam, że mężczyzna siedzi na ławce i wygląda na wyczerpanego. Zaparkowałam samochód i podążyłam w jego stronę. Zauważył, że idę w jego kierunku, i z przerażeniem w oczach gwałtownie podniósł się z ławki. Gdy dotarłam do ławki, na której wcześniej siedział, mężczyzna stał przy skrzyżowaniu, czekając na zielone światło. Nerwowo spoglądał kątem oka w moją stronę. Zdałam sobie sprawę, że boi się mnie tak samo jak ja jego. Wiedząc, że mnie widzi, położyłam torbę z jedzeniem i spojrzałam na niego zachęcająco. Uciekł wzrokiem. Odeszłam, nie wiedząc, co stanie się dalej. Złożyłam wszystko w ręce Boga. Gdy się oddalałam, poczułam wielką radość. Nie była to radość wynikająca z samozadowolenia, lecz raczej radosne podniecenie

wynikające ze świadomości, że posłuchawszy Boga, stałam się narzędziem Jego miłości.

NATCHNIENIE: DROGA DO RADOŚCI

Każdy z nas czasami czuje natchnienie Ducha Świętego. Często jednak chcemy odsunąć je od siebie, ponieważ, szczerze mówiąc, pragniemy kontrolować swoje życie i obawiamy się podjąć ryzyko, którego sami nie wybraliśmy. Odkąd Adam i Ewa zerwali jabłko i skosztowali go, my, ludzie, próbujemy postępować po swojemu. Pragniemy robić to, na co mamy ochotę, zarówno w poważnych, jak i w drobnych sprawach. Czasami dopuszczamy do nich Boga lub prosimy Go, by nami pokierował, zwykle jednak postępujemy tak tylko, kiedy podejmujemy naprawdę ważne decyzje lub potrzebujemy pomocy. Niestety łatwo jest zapomnieć o Bogu, gdy chodzi o zwykłe, codzienne decyzje.

Czasami usprawiedliwiamy odrzucenie natchnień Ducha Świętego, mówiąc sobie, że powinniśmy robić to, na co mamy ochotę, zwłaszcza wtedy, kiedy nie jest to kwestia wyboru między dobrem a złem. Możemy myśleć tak: „Nie chce mi się teraz zadzwonić do przyjaciela, mam ochotę obejrzeć show w telewizji. Co w tym złego?”. Oczywiście, kiedy Duch Święty nas do czegoś inspiruje, niczego nam despotycznie nie narzuca. Nawet wtedy, kiedy jest to wybór między dobrem a złem. Zawsze możemy wybrać, czy podążyć za natchnieniami Ducha Świętego, czy nie. Jednak gdzieś w głębi swego jestestwa wiemy, że kiedy postanawiamy posłuchać natchnień Ducha Świętego, to podążamy drogą przygody i radości.

Życie w więzi z Duchem Świętym jest życiem transcendentni. Zamiast egzystować po prostu we własnym świecie z jego

ograniczonymi perspektywami i grubymi murami, wkraczamy w świat wolności w Duchu Świętym. Odsuwamy od siebie to, co pragniemy mieć natychmiast, i szybko odkrywamy wspaniałą radość, która płynie od Boga działającego w nas i poprzez nas. Odkrywamy radość życia w sercu Boga i zaczynamy rozumieć słowa Matki Teresy z Kalkuty, która mówiła, że jest po prostu ołówkiem w ręku Boga i że to Bóg myśli i pisze.

DZIAŁANIE POD WPŁYWEM NATCHNIENIA

Podążanie za natchnieniem Ducha Świętego jest niezbędnym składnikiem naszych relacji z bliskimi, którzy odeszli od wiary. Niestety, nie istnieje coś takiego jak strategia ewangelizacji. Nie ma instrukcji czy podręcznika obsługi człowieka. Dlatego właśnie tak ważne jest, by pozwolić Duchowi Świętemu działać w nas. Kto lepiej zna serca naszych bliskich niż Duch Święty? Kto zna ich rany, namiętności i pragnienia? To On może przemówić do nich za naszym pośrednictwem, ale tylko wtedy, gdy Mu na to pozwolimy.

Mam przyjaciółkę, która wciąż dyskutuje z ludźmi na temat wiary. Jest nieustraszona i bardzo odważna. Pewnego razu przypadkiem usłyszała, jak znajomy opowiada o niemoralnym związku, w który się zaangażował. Moja przyjaciółka powiedziała mu od razu dobitnie, na czym polega zło jego postępowania. Gdy mi to później opowiadała, spytałam ją: „Czy czułaś, że do powiedzenia mu tego natchnął cię Duch Święty?”. Spojrzała nam lekko zdziwiona, bo tego czynnika nie brała zwykle pod uwagę, podejmując decyzję.

Być może moja przyjaciółka zrobiła dobrze i to, co powiedziała, poskutkowało w wypadku tej osoby. Jednak gdyby natchnął ją Duch Święty, mogłaby mieć większą pewność, że jej słowa zbliżą tę osobę do Boga. Czasem trudno zrozumieć, dlaczego musimy

poradzić się Ducha Świętego, nim wdamy się z kimś w dyskusję, zwłaszcza jeśli czujemy, że dana osoba czyni krzywdę swojej duszy. Ważne jest jednak, by rozumieć i szanować to, że ludzie, którzy przestali wierzyć w Boga lub oddalili się od Kościoła, znajdują się w delikatnej duchowej sytuacji, a ich uczucia względem Boga zostały zranione. Nawet jeśli osoba, o którą się niepokoiimy, należy do naszej bliskiej rodziny lub gdy chodzi o nasze własne dziecko, nie możemy zakładać, że wiemy, czego jej potrzeba. Tylko Duch Święty zna i w pełni rozumie serca naszych bliskich.

Duch Święty ma koncepcję różnorodnych ról i chciałby, żebyśmy odgrywali je w życiu danej osoby. Są też takie role, których według Niego nie powinniśmy odgrywać. Bierze się to stąd, że wie On dokładnie, czego każdemu człowiekowi potrzeba do wzrastania w wierze. Może chcieć, żebyśmy komunikowali się z kimś śmiało i szczerze, ponieważ potrzebuje on takiego podejścia na danym etapie życia. W innym wypadku może po prostu pragnąć, byśmy okazali komuś w delikatny sposób chrześcijańską miłość. Jeśli polegamy na Duchu Świętym, możemy mieć większą pewność, że postępujemy w sposób naprawdę zbawienny dla innych. Kiedy działamy z własnej inicjatywy, nie mamy żadnej gwarancji, że to, co robimy lub mówimy, będzie pomocne, a nie szkodliwe. Gdy zdajemy się na Ducha Świętego, zyskujemy większą pewność, że nasze działanie w życiu bliskich będzie skuteczne. Z pewnością będziemy popełniać błędy, lepiej jednak coś zrobić i się mylić, niż nie robić nic.

ROZPOZNAWAĆ PRAWDZIWE NATCHNIENIA

Możesz sądzić, że pomysł, by działać pod natchnieniem Ducha Świętego, jest dobry, ale nie wiesz, jak się do tego zabrać, a nawet możesz nie być pewny, czy Duch Święty kiedykolwiek inspirował

cię do zrobienia czegokolwiek. Odpowiadanie na zaproszenie Ducha Świętego może ci się wydawać czymś mglistym, eterycznym, dalekim od codziennego życia. Hans Urs von Balthasar tak pisał kiedyś o natchnieniach Ducha Świętego:

Cicho, niemal niesłyszalnie, a przecież tak, że niemożliwe jest nie usłyszeć, zbliża się promień światła, propozycja siły, rozkaz, który jest czymś więcej i czymś mniej niż rozkazem, życzeniem, prośbą, wezwaniem, kuszeniem, krótkie jak okamgnienie i tak proste do pojęcia, jak spojrzenie dwojga oczu¹.

Jakże pięknie to brzmi, takie proste, a jednocześnie takie trudne do pojęcia, takie skomplikowane. I to prawda: natchnienia Ducha Świętego niełatwo zauważyć, a jeszcze trudniej za nimi podążać. Może to tłumaczyć, dlaczego czasem w życiu wolimy zignorować natchnienia Ducha i trzymać się tego, co dla nas wygodne. W rzeczywistości jednak każdy z nas słyszał kiedyś Jego głos. Większość z nas musi po prostu przyzwyczać się do tego, by go słuchać i odpowiadać mu.

Zapewne masz przyjaciela lub przyjaciółkę, którzy często do ciebie dzwonią i znasz ich głos tak dobrze, że wiesz, kto dzwoni, nim dana osoba się przedstawi. Właśnie tak powinniśmy poznać głos Ducha Świętego. Ojciec Jacques Philippe w swojej książce *W szkole Ducha Świętego* tłumaczy nam, że po to, by usłyszeć głos Ducha Świętego, musimy rozwinąć w sobie „duchowy słuch”:

Ów „duchowy słuch” jest jakby zdolnością do rozpoznania pomiędzy wieloma pomieszanymi głosami, które dają się usłyszeć w naszym wnętrzu, jedyne, godnego rozpoznania głosu Jezusa.

¹Hans Urs von Balthasar, *Serce świata*, przeł. U. Poprawska, WAM, Kraków 2003, s. 63.

Zmysł ten jest czymś w rodzaju wypływającej z miłości wspólnoty natury, która sprawia, że coraz łatwiej możemy rozpoznawać głos Oblubieńca w koncercie wszystkich dźwięków, jakie docierają do naszych uszu².

Duch Święty przemawia do każdego z nas z osobna, w związku z tym, aby żyć w zgodzie z Jego natchnieniami, możemy wyostrzyć swój słuch, by się zorientować, jak brzmi Jego głos. W wyrobieniu sobie słuchu na to, w jaki sposób Duch Święty komunikuje się z nami, pomoże nam cicha modlitwa. To tak, jakbyśmy regularnie odbierali telefon od przyjaciela i rozmawiali z nim, a w rezultacie zaczęli rozpoznawać jego głos. Jeśli dajemy sobie czas na to, by słuchać w ciszy, nastrajamy uszy na unikalną melodię i tembr głosu Ducha Świętego w naszym życiu. Gdy nabierzemy doświadczenia, zyskamy większą pewność, że podążamy za Jego natchnieniami. Rozwiniemy wycucie tego, jak brzmi głos Ducha Świętego, zarówno za sprawą modlitwy, jak i akceptowania Jego wskazówek i postępowania zgodnie z nimi. Samo zidentyfikowanie głosu Ducha Świętego nie da nam zbyt wiele, jeśli będziemy go wciąż ignorować. Przyjęcie zaproszenia Ducha Świętego jest jak przyjęcie od przyjaciela zaproszenia na kawę. Jeśli stale będziemy odmawiać, przyjaciel w końcu będzie nas zapraszał dużo rzadziej.

DOSTRZEGANIE OWOCÓW NASZEGO DZIAŁANIA

Ogólnie rzecz biorąc, możemy być przekonani, że działamy pod wpływem Ducha Świętego i właściwie rozwijamy „duchowy

²Jacques Philippe, *W szkole Ducha Świętego*, przeł. A. Graboń, Wydawnictwo M – Wydawnictwo Diecezjalne Sandomierz, Kraków 1997, s. 48.

zmysł”, jeśli towarzyszą temu uczucia spokoju, miłości i radości. Jeżeli działamy pod wpływem natchnień i owoce naszych działań są pozytywne, możemy być jeszcze bardziej pewni, że słyszymy głos Ducha Świętego. Te owoce często wskazują nam, czy podążamy wskazaną drogą, czy może nie.

Wyobraź sobie na przykład, że spędziłeś popołudnie z przyjacielem, który oddalił się od Kościoła. Gdy przebywałeś z nim, prosiłeś Boga, by natchnął cię do tego, byś wspomniął w rozmowie o swojej wierze, jeśli taka jest Jego wola. W pewnym momencie poczułeś, że coś cię pcha do podzielenia się z przyjacielem informacją o tym, jak się modlisz. Chciałeś powiedzieć dużo więcej, ale poczułeś, że najlepiej będzie już skończyć. Po skończonej rozmowie czujesz spokój i radość. Ponieważ prosiłeś Boga o to, by cię natchnął, możesz z pewnością zawierzyć Mu każdą uwagę, która mogła nie być na miejscu, czy każde natchnienie, które mogłeś przeoczyć, wiedząc jednocześnie, że starałeś się najlepiej, jak mogłeś, i że Bóg docenia twoje uczciwe pragnienie, by być inspirowanym i prowadzonym przez Niego.

Rzecz jasna nie zawsze możemy się spodziewać, że naszym relacjom z bliskimi będą towarzyszyły spokój i radość, zwłaszcza wówczas, gdy Duch Święty zainspiruje nas do powiedzenia czegoś trudnego i wymagającego. Nasze słowa mogą w bliskiej nam osobie wywołać złość lub inne negatywne emocje. Ważne jest jednak, abyśmy do pewnego stopnia zdystansowali się od tych reakcji i skupili się na pozytywnych uczuciach, które pobudza w nas Duch Święty. Pokój, który daje Bóg, może być głęboko ukryty. Jeśli popadliśmy w konflikt z bliskimi, powinniśmy naprawdę poszukać tego pokoju, ale odnajdziemy go, jeśli podążamy właściwą ścieżką. Jeśli znajdziemy ów pokój u podstaw naszych działań wobec drugiej osoby, możemy być pewni słuszności tego, co mówimy i robimy.

Warto zauważyć, że jeśli postanawiamy powiedzieć coś surowo bez inspiracji ze strony Ducha Świętego, nie należy mylić Jego akceptacji z naszym poczuciem samozadowolenia i przekonaniem o własnej nieomyślności. Gdy niepotrzebnie wywołujemy konflikt lub ranimy czyjeś uczucia w wyniku arogancji lub złości, nie należy udawać, że postąpiliśmy właściwie. Pokój pochodzący od Boga nie powinien być mylony z błędnym samozadowoleniem. Jeśli w myśl własnych jasnych poglądów powiedzieliśmy coś złego, najlepiej jest przyznać się do tego przed sobą oraz innymi i się poprawić.

ROZPOZNANIE NIEZDROWYCH MOTYWACJI

Jeśli czujemy, że do powiedzenia czegoś komuś bliskiemu popychają nas lęk lub poczucie winy, prawdopodobnie nie wynika to z natchnienia Ducha Świętego. Często dzieje się tak, że niezdrowe uczucia i motywacje w połączeniu z niecierpliwością mogą prowadzić nas do działania lub wypowiedzania się w sposób, który wcale nie zbliża osoby, którą kochamy, do Boga, lecz odwrotnie – odpycha ją od Niego jeszcze bardziej. Te negatywne uczucia w większości wypadków są sygnałem, że powinniśmy wziąć głęboki oddech. Oczywiście to, co nas motywuje do działania, jest zawsze złożone, zwykle jednak możemy zauważyć podstawowe motywujące nas uczucia. Jeśli są to głównie lęk, złość płynąca z frustracji lub poczucie winy, to najlepiej się wycofać, nim zaczniemy cokolwiek robić.

Niecierpliwść to prawdopodobnie jedno z najpowszechniejszych, ale i potencjalnie najbardziej niszczących uczuć. Może ona źle wpłynąć na nasze relacje z bliskimi. Jeśli odczuwamy gwałtowną potrzebę powiedzenia komuś czegoś natychmiast, zwykle

oznacza to, że z naszymi emocjami jest coś nie w porządku. Rzecz jasna to piękne, gdy mocno pragniemy przywrócić kogoś do życia w komunii z Bogiem w Kościele. Jeśli jednak ten święty imperatyw wywołuje nieświęty lęk i niecierpliwość, prawdopodobnie spowoduje, że zrobimy lub powiemy coś, co będzie nieskuteczne i bolesne. Jeżeli jesteśmy niecierpliwi, musimy zadać sobie pytanie: „Skąd się wzięło to uczucie?”. Czy nasza niecierpliwość bierze się z zaufania Bożej opatrności? Jeśli tak nie jest, powinniśmy pracować nad tym, by pozbyć się tego uczucia.

Jak czytamy w Pierwszym Liście św. Jana: „W miłości nie ma lęku” (1 J 4,18). Bóg chce wszystkiego, co najlepsze, dla każdego, kogo kocha. Nie ma powodu, byśmy się lękali albo myśleli, że wszystko zależy od nas. Jeśli się czegoś lękamy, pomocne może się okazać odkrycie źródła lęku. Czy chcemy, żeby dana osoba wróciła na łono Kościoła, bo obawiamy się tego, co Bóg może zrobić, jeśli ona nie wróci? Z pewnością myślimy o piekle i głęboko pragniemy, by nasi bliscy go uniknęli. Jednak prawdziwa wiara nie opiera się na lęku. Lęk i żal za grzechy odgrywają ważną rolę w jej przeżywaniu, jednak wiara oparta na lęku nie przyciągnie nikogo – podczas gdy oparta na miłości relacja z Bogiem uczyni to. Kiedy nasza więź z Bogiem opiera się na miłości, doskonale rozumiemy, jak bardzo On nas kocha, i chcemy, by inni doświadczyli tej miłości. Każdy człowiek jest dla Boga skarbem i jest przez Niego ukochany. To dlatego pragniemy, by ludzie znów żyli w bliskości z Bogiem i Jego Kościołem. Jeśli ubieramy nasze przesłanie w ramy miłości i nadziei, a nie w ramy lęku, ufamy Bogu, który każdego człowieka ma głęboko w swym sercu i pragnie jego zbawienia nawet bardziej niż my.

Zawsze warto się zatrzymać i dać sobie czas na upewnienie się, że nasze działania mają swe źródło w Bożej miłości i są przez nią inspirowane. Kiedy naszym działaniem kieruje niecierpliwość,

łatwo możemy się pogubić. Niestety, może nas to powstrzymać przed szukaniem właściwych rozwiązań problemów, które napotykaemy. Jeśli zaczynamy czegoś się bać, niezbędne jest przedstawienie naszych obaw Bogu w modlitwie. Jeśli się nie modlimy, zwłaszcza przed ważnymi rozmowami, możemy w efekcie powiedzieć coś niewłaściwego. Wyjąwszy nagłe przypadki, zawsze miejmy czas na to, by się pomodlić, nim się do kogoś zwrócimy. Warto też – poza modlitwą – mieć oczy i uszy otwarte na to, jak Duch Święty przemawia do nas poprzez różne codzienne zdarzenia. Zwykle będzie On przemawiał do nas za pośrednictwem modlitwy, ale może to również czynić na różne inne niespodziewane sposoby: przez rozmowę, książkę, którą czytamy, radę godnego zaufania przyjaciela, a nawet komentarz obcej osoby.

Zdarza się, że emocja postrzegana zwykle jako zła jest tak naprawdę właściwym uzasadnieniem naszych działań. Stwierdzenie to jest szczególnie prawdziwe w wypadku złości. Złość nie jest ani dobra, ani zła; to po prostu uczucie, które uświadamia nam, że coś wymaga zmiany. Jeśli ktoś, kogo kochamy, przekracza nasze granice lub granice innej osoby swoim nieakceptowalnym zachowaniem, złość uświadamia nam, że musimy coś powiedzieć. Czasami nasi bliscy poważnie zagrażają sobie fizycznie lub duchowo i wtedy nasza złość może zmobilizować nas do powiedzenia tego, co powiedzieć powinniśmy. W takich sytuacjach Duch Święty wzywa nas do tego, byśmy działali energicznie i stanowczo. Szczególnie dotyczy to rodziców kilkunastoletnich dzieci, w których wypadku trzeba koniecznie podjąć poważne działania wychowawcze. Jeśli złość jest wyrażana w sposób kontrolowany, może pokazać, jak głęboko troszczymy się o naszych bliskich. Czasem ktoś czeka na sygnał, że jego działania są nieakceptowalne, i nasze słowa mogą być takim sygnałem.

Ważne jest jednak, by nasza złość była złością pełną miłości. Może to brzmieć jak oksymoron, ale nim nie jest. Bez wątpienia jesteśmy w stanie przywołać w pamięci moment, kiedy osoba będąca dla nas autorytetem była dla nas surowa w wyniku frustracji albo próbowała wyrzucić na nas presję. Możemy też jednak prawdopodobnie przywołać w pamięci takie sytuacje, kiedy ktoś wyrażał złość w taki sposób, że było jasne, iż jego zachowaniem kieruje prawdziwa miłość. Jeśli do działania motywuje nas coś innego niż miłość i gdy nie prowadzi nas Duch Święty, wyrażanie złości może wpłynąć niszcząco na czyjąś drogę duchową. Konieczne jest więc, byśmy działali inspirowani przez Ducha Świętego i by u podłoża tego, co mówimy, zawsze była miłość.

Niezależnie do tego, co nas motywuje, w relacjach z bliskimi może nam pomóc obserwowanie tego, jak Duch Święty działa w naszym życiu, by nauczyć nas postępowania z innymi. W większości wypadków Duch Święty robi to powoli i delikatnie w naszych duszach, ważne jest zatem, byśmy okazywali taki sam szacunek ludziom, których kochamy, działając powoli i delikatnie, a nie ze zbytnią gwałtownością, agresją czy lękiem.

UCZĄC SIĘ OD MARYI

Zapewne znasz fragment Ewangelii według św. Mateusza, mówiący o tym, jak Maryja i kilkoro członków rodziny przyszło do Jezusa, gdy Ten nauczał. Jeden z uczniów mówi Jezusowi, że Jego matka i rodzina są tu i chcą z Nim rozmawiać. Jezus patrzy na swoich uczniów, otwiera ramiona i mówi: „Któż jest moją matką?”, a potem kontynuuje: „Bo kto pełni wolę Ojca mojego, który jest w niebie, ten Mi jest bratem, siostrą i matką” (Mt 12,48.50). Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że Jezus dyskredytuje swoją

matkę. Ktoś sobie wyobraża, że Maryja słyszy przypadkiem słowa Jezusa i myśli: „No cóż, ładne powitanie!”. Ale kiedy Jezus pyta: „Któż jest moją matką?”, musi to spowodować, że Jego uczniowie pomyślą o matce Jezusa, którą znają jako pokorną, świętą kobietę o duszy przepelnionej Bożą obecnością.

Pytając: „Któż jest moją matką?”, Jezus zachęca nas do spojrzenia na nią jako na wzór świętości. Kim naprawdę jest matka Jezusa? I czego może nas nauczyć o wypełnianiu woli Ojca? Święty Jan Paweł II zauważył kiedyś, że to właśnie od Maryi uczymy się, jak poddawać się we wszystkim woli Bożej³. Maryja, podobnie jak jej syn Jezus, doskonale łączyła swoją wolę z wolą Ojca. Podążała za natchnieniem Ducha Świętego we wszystkim, co robiła. Kiedy ukazał się jej anioł i powiedział, że urodzi Mesjasza, z pokorą wysłuchała wiadomości i przyjęła ją posłusznie z radością i ufnością. Ludzie śpiewają pieśni, malują obrazy i piszą wiersze o zwiastowaniu, ale tylko nieliczni naprawdę poświęcają czas, by zgłębić ten moment. Odpowiedź Maryi udzielona archaniołowi Gabrielowi była tak często analizowana, że łatwo można się tym znudzić i przeoczyć, jak bardzo jest ona ważna. Jeśli weźmie się pod uwagę kontekst i sytuację, w której znajdowała się Maryja, jasne jest, że jej gotowość przyjęcia tej zdumiewającej nowiny jest naprawdę niesamowita. Było to jednak możliwe, ponieważ Maryja miała już stałą relację z Duchem Świętym. Znała Jego głos tak, jak my znamy głosy naszych najbliższych przyjaciół. Gdy nadszedł czas, by otrzymała najważniejsze natchnienie Ducha Świętego w jej życiu i w całej historii świata, Maryja była na to gotowa.

³ Zob. Papież Jan Paweł II, *Holy mass at the Cathedral of St. Matthew. Homily of His Holiness John Paul II*, Washington, October 6, 1979, dostęp 9.01.2014, http://www.vatican.va/holy_father/john_paul_ii/homilies/1979/documents/hf_jp-ii_hom_19791006_washington-san-matteo_en.html.

Spis treści

| | |
|--|-----|
| Przypowieść o synu marnotrawnym | 7 |
| Przedmowa (o. D. Dwyer FSP)..... | 9 |
| Podziękowania..... | 13 |
| Wstęp | 15 |
| 1. Historia nadziei..... | 19 |
| 2. Fundament pokory | 33 |
| 3. Słuchanie Ducha Świętego..... | 51 |
| 4. Znajdowanie równowagi. Miłość i prawda | 67 |
| 5. Odpowiadanie na zwodnicze pomysły..... | 79 |
| 6. Akceptowanie wątpliwości i niedowiarków | 99 |
| 7. Dlaczego nasza wiara ma znaczenie | 117 |
| 8. Szacunek dla wolnej woli | 133 |
| 9. Modlitwa jest kluczem | 151 |
| 10. Siła cierpienia..... | 161 |
| 11. Bądźcie święci, tylko to ma znaczenie | 177 |
| 12. Stać się człowiekiem nadziei | 189 |
| Epilog | 205 |
| Aneks | 207 |